GAZETA
LEŚNA i MYŚLIWSKA

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
DLA WŁAŚCICIELI LASÓW, LEŚNICZYCH, MYŚLIWYCH i MIŁOŚNIKÓW PRZYRODY

Redakcja i Administracja: Nowy Zjazd 7. Telefon 248-82. — Wydawca i kierownik literacki Gustaw Buseck-Busecki.

№ 23. WARSZAWA. 1 Grudnia 1913 r. Rok II.

NA PODCHODNE!



W różnych stronach i w różnych krajach Europy i Azji polowało się i tropiło zwierzynę w ciągu długiego życia mojego, a kiedy spojrzę wstecz poza siebie, to chciałbym przynajmniej zebrać i przedstawić doświadczenie w w ciągu lat 30 zdobyte. Zaczerpnąłem tych doświadczeń polując na podchodne za łosiem, maralem, jeleniem, danielem, koziorożcem, muflonem, kozicą, kozłem, dzikiem, niedźwiedziem, wilkiem i inną dziczyzną.

Na ogół biorąc, szlachetny sposób polowania „na podchodne" zbyt mało jest uprawiany, a niejeden rości sobie pretensję do tytułu znakomitego myśliwego, chociaż najwięcej w życiu ubił zwierzyny z naganką. Takiego pana, który umie celować tylko do napędzonej mu przez innych ludzi zwierzyny, należałoby nazwać właściwie strzelcem, ale nie myśliwym. Wogóle gdy sobie przypomnimy, jakie harce na polowaniach wyprawiali nasi praojcowie, uzbrojeni w dzidę i łuk, to musimy przyznać, że więcej przydałoby się nam skromności. Wielu myśliwych strzela dzisiaj bardzo celnie, nie ich to jednak zasługa, lecz raczej doskonale wyrobionym fuzjom, poza tem jednak ludzie są dzisiaj zbyt wygodni, ażeby chcieli zanadto przybliżać się do zwierzyny. A przecież prawdziwa ambicja myśliwego wskazywaćby powinna, ażeby podchodził jaknajbliżej i kładł trupem zwierzynę strzałem w serce albo

dziem do zabijania stworzeń, ale powinna myśliwemu zapewniać jaknajwiększą sumę rozkoszy, a doprawdy rozkoszą nie jest bezlitosne tępienie wszystkiego co pod rękę popadnie.

Każdy zamiłowany myśliwy miał w życiu swojem takie momenty, które radby zamazać w swojej pamięci, sprawiają mu bowiem wyrzuty sumienia. I ja również nie jestem od takich wspomnień wolny. Ale te niemiłe wyrzuty sumienia wyrównywa przynajmniej do pewnego stopnia jedno miłe wspomnienie z przed lat siedmiu, gdy miałem wielkie szczęście, polując w Karpatach węgierskich ubić 12-tu kulami 12-cie kapitalnych jeleni, a żadne z tych stworzeń nie padło dalej od mojego strzału, jak na 90 kroków. Ani jednej sztuki nie postrzeliłem. Natomiast co do polowań na kozice nie jest takie czyste.

Trzy zmysły posiada zwierzyna, za pomocą których uchronić się może przed polującym na podchodne myśliwym, a mianowicie: węch, wzrok i słuch. Pomówię tutaj najpierw o węchu ze względu na to, że w tej materji wyrobiłem sobie niejeden inny pogląd, aniżeli ogół myśliwych.

Węch (wiatr).

W kołach myśliwskich ogólne panuje mniemanie, że wiatr jest czemś takiem, od czego nie można się obronić, najczęściej też powiadamy sobie: z lichym wiatrem nie mogę się do zwierzyny przybliżyć, muszę zatem podchodzić mając dobry wiatr za sobą. Ileż to razy jednak okazuje się, że wiatr jest bardzo zły, a pomimo to ukazuje się nam nagle jakaś sztuka przed oczami? Jeżeli pomyślimy trochę nad węchem ludzkim i węchem zwierzyny, to zawsze znajdziemy sposób obejścia niekorzystnych warunków przy polowaniu na podchodne. Moje dociekania pod tym względem nie są jedynie oparte na teorji, wypróbowałem je bowiem na swoją korzyść w praktyce.

Wezmę tutaj dla przykładu polowanie na

z czego się składa węch ludzki? W głównej mierze składa się on z czterech części: 1. Z ulatniania się wyziewów, wydobywających się z porów skórnych, 2. z parowania płuc przez usta i żołądek, 3. z zapachów, które czepiają się ubrania (wyschnięty pot, dym od tytoniu, woń jedzenia i t. p.), 4. zapach przedmiotów, jakie mamy przy sobie. Wszystkie te zapachy można przez podjęcie odpowiednich środków bardzo osłabić, a nawet po części zupełnie unicestwić.

Przypatrzmy się teraz przedewszystkiem, w jaki to sposób zachowuje się przeważna część myśliwych, wkraczających do budki myśliwskiej w okresie bekowania. W takich wypadkach myśliwi są tak pewni siebie, że odrzucają na bok wszelką kulturę, a zastępują ją namiętnością strzelania. Nie lepiej i ja niegdyś postępowałem. Myśliwi mniej się wówczas myją, rzadziej zmieniają bieliznę, dłużej siedzą przy stole i jedzą, okadzając się dymem tytuniu, a butami wstępują na popiół od cygar. Rezultat takiego zachowania się jest ten, że stajemy się wówczas rodzajem słupa, wydającego niemiłą woń, którą szczególniej zwierzyna odczuje na bardzo daleki dystans. Możemy wtedy podchodzić od rana do nocy i nic nie znajdziemy, wszelkie bowiem stworzenie zdaleka już zacznie z przerażeniem uciekać. Może tego nie zauważyć np. byk kapitalny, na którego zagięliśmy sobie parol, ale zauważy z pewnością gdzieś z boku stojąca łania, która tego byka natychmiast potrafi skłonić do ucieczki. Iluż to myśliwych pozbawia samochcąc swój rewir zwierzyny tylko dla tego, że codziennie chodzi po lesie, rozsiewając naokół wstrętną dla zwierzyny woń! A potem skarżą się, że nie mieli dobrego podejścia, że bekowanie wypadło w tym roku wyjątkowo źle,



Rys. 1. Bekowisko mazali nad górnym Donkukolem w Tsian-Czan.

wego okresach, jak bekowanie, należałoby zatem przedewszystkiem pomyśleć o odwietrzeniu siebie samych.

Opowiem tutaj najpierw, co sam robię w takich wypadkach, i co okazało się bardzo skuteczne. Przedewszystkiem z pomiędzy ubrań swoich wyszukuję takie, które najmniej w siebie wchłonąć może zapachów, a więc odzież z bawełny i płótna. Ubiór mój na polowanie składa się z lnianej kurtki i krótkich spodni, ażeby kolana były swobodne. Ma to na celu dostarczenie nogom jak największej ilości świeżego powietrza i zapobiegnięcie transpirowaniu. Ubranie powinno być poprzednio najmniej raz wygotowane w wodzie i wysuszone na słońcu. Jeżeli jest zimno i deszczowo, to kładę takich kurtek kilka jedną na drugą. Koszul używam tylko płóciennych, tak samo kalesonów, pod spód zaś kładę koszulkę siatkową; długie pończochy są bawełniane. Obuwia używam o podeszwach sznurkowych. Tego ubrania z zasady nie trzymam nigdy w mieszkaniu, lecz natychmiast po powrocie z polowania na podchodne rozbieram się zupełnie i rozwieszam wszystko, nie wyłączając bielizny, na świeżem powietrzu tak, ażeby o ile możności dochodziło tu słońce. Przed wyruszeniem na polowanie kąpie się bardzo dokładnie, a idąc na podchodne staram się doprowadzić do tego, ażeby nigdy na właściwe miejsce nie dojść w stanie spoconym. Gdyby się zdarzyć miało, że podczas samego polowania musiałem się spocić, to bezwarunkowo zmieniam natychmiast bieliznę. Napotkawszy na drodze ślady wypróżnień jelenich, umyślnie je rozdeptuję, ażeby podeszwy moje nabrały odpowiedniego powietrza. Pomimo, że jestem zapalonym palaczem, w tym czasie nie palę prawie

dnego wyrobu tytuniowego, gdyż i to wydaje z siebie woń.

Odpowiedzą mi może na to czytelnicy: „I na cóż to wszystko się przyda, jeżeli myśliwy, który prowadzi polowanie, nie zachowuje tych wszystkich środków ostrożności?“ Odpowiem na to, że nawet w cudzym rewirze staram się zawsze podchodzić sam, i bardzo dobrze na tym wychodzę. Ponieważ jedno i jedno daje dwa, więc dwóch ludzi musi wydawać z siebie podwójną ilość woni, hałas przez nich powodowany jest podwójny, podwójna też będzie ilość ruchów dostrzegalnych przez zwierzynę.

Przyjechawszy do obcego rewiru, przedewszystkiem staram się o to, ażeby człowiek znający miejscowość obznajmił mnie, możliwie na mapie, z granicami tego rewiru, jeżeli zaś się uda, to nawet poprzednio obejdę mniej więcej rewir. Podczas następnych dni etapami wśrubowuję się w głąb rewiru i bardzo prędko czuję się tutaj, jak we własnym domu. Już widok śladów jelenich dobrego myśliwego powiadomi o wszystkiem, czego mu potrzeba, należy być jednak wytrenowanym w orjentowaniu się co do kierunku. Taki trening można przeprowadzić, gdy się uważnie patrzy na otoczenie, nie oddając się żadnym słodkiem marzeniom. W sztuce orjentowania się doprowadziłem tak daleko, że sam jeden zapuszczałem się w puszczę Azji środkowej, w Mongolji i Tian-Czan i trzy razy tylko zdarzyło mi się, że wieczorem nie mogłem trafić do domu, zmuszony czekać do rana pod drzewem albo skałą. Kto na podchodne wybiera się stale z przewodnikiem, ten nawet połowy nie zazna przyjemności tego rodzaju polowania, główna zaś przyjemność polega na napięciu nerwów i na oczekiwaniu różnych niespodzianek albo nawet przygód. Czasami zdarzało się, że człowiek ubił w prastarym lesie jelenia, a potem nie wie-



Rys. 2. Ubite mazale podczas bekowania.

częto zmuszony pociągnąć łańcuch naznaczonych drzew do pagórka, albo też strumyka, a potem już zwracałem się ku domowi, powracając dnia następnego po upolowaną zwierzynę. Nikt nie może mieć wyobrażenia, kto tego nie zaznał, jaką to bajeczną przyjemność sprawia stać samemu jednemu nad ubitym jeleniem i za otoczenie całe mieć milczące drzewa prastarego lasu. Życie można dać za taką jednę chwilę rozkoszy. Uprzytomnić sobie musimy, że dla zwierzyny okolica cała przedzielona jest ostrą linją na dwie części. Mowa tu naturalnie o węchu. Z jednej ztrony zwierzę, kierując się wiatrem widzi przed sobą ciemną noc, z drugiej zaś błyszczy przed nią jasność dzienna. Wobec tego rzeczą jest łatwo zrozumiałą, że mądre zwierzę czołowe, z chwilą gdy stado zostało czemś zaniepokojone, stara się wepchnąć to stado we wiatr. Dlatego też nieraz smutny jestem, gdy na polowaniach z naganką wyszukują dla mnie, niby dla okazania szczególniejszego szacunku, taki posterunek, gdzie wiatr jest najlepszy. Jeżeli poluję z dobrymi znajomymi, to proszę ich wówczas: „Postawcie mnie na wekslu z najgorszym wiatrem, a pokażę wam, że i tam potrafię być dla zwierzyny bardzo nieprzyjemny!“

Nieraz słyszy się zdanie, że silny wiatr nie jest sprzyjający, co do mnie jednak, to wręcz odmiennego jestem poglądu. Silny wiatr rozrywa wietrzenie zwierzyny, rozdrabnia je i chłodzi, natomiast najniekorzystniejszy dla myśliwego jest ciepły, powolny wietrzyk przy wielkim upale, albo też wilgotnem powietrzu.

Jak subtelny jest zmysł powonienia u zwierzyny, o tem najlepiej można się przekonać polując w górach. Stwierdziłem, że koziorożec, a więcej jeszcze muflon (argali) zwietrzy obecność człowieka na odległość aż 600 m. Kozica (gemza) ma prawdopodobnie jeszcze deli-

podobne odległości potrafi zwietrzyć myśliwego. Natomiast wzrok mają koziorożce bezporównania lepszy od kozic. Trzeba tu jednak wziąć pod uwagę, że w górach zawsze ciało ludzkie transpiruje, bądź w większym, bądź też mniejszym stopniu. Polując na kozice mogłem zawsze bardzo wyraźnie tę różnicę zaobserwować. Gdy byłem sam, podchodziłem zawsze bliżej, gdy zaś szedłem w towarzystwie drugiego myśliwego, palącego fajkę, i nie zdejmującego przez kilka dni zapoconej koszuli, wtedy o blizkim podejściu nie mogło być nawet mowy. Niestety! w górach bardzo trudno puszczać się samemu na polowanie, choćby nawet z tego względu, że miejscowi strzelcy niechętnie patrzą na człowieka, który ich niechce zabrać z sobą. Pomimo to najlepiej wychodziłem na podchodnem, gdy wybierałem się sam

Wzrok.

Co do środków zapobiegawczych dotyczących tego, ażeby niebyć dostrzeżonym przez zwierzynę, to postaram się dać wyjaśnienie możliwie krótkie i przedewszystkiem powiem o właściwym doborze koloru ubrania, jakie wziąć należy, polując na podchodne. Mojem zdaniem za najodpowiedniejsze uważam odzienie o wielobarwnych odcieniach, spodnie zatem, surdut, kamizelka, kapelusz i pończochy powinny mieć rozmaite odcienie pod względem barwy. Nic tak nie rzuca się w oczy w lesie, jak jednokolorowa bryła, natura bowiem niezna takiej jednostajności. Najczęściej ludzie wybierają się na polowanie w ciemnych ubraniach i zwierzęta przyzwyczajają się do tego, że taka ciemna postać musi oznaczać niebezpiecznego dla niej człowieka. Dlatego też



Rys. 3. Wspaniały mazal.

w góry. Raz coprawda przytrafiło mi się, że już Bogu oddawałem duszę, gdy zapuściwszy się w góry, byłem zmuszony wykonać niejako salto mortale i spadłem na śnieg, toczący się jak lawina z góry, zarywszy się powyżej głowy w tym śniegu. Często również przytrafiało mi się w Tian-Czan, że upolowawszy koziorożca i odciąwszy mu głowę z rogami, musiałem ten ciężar przeszło 50 funtowy dźwigać na plecach, raz tocząc się z góry na dół, to znów pnąc się pod stromą górę. Myślałem już wówczas, że padnę ze zmęczenia, ale zawziętość i ambicja dodawały mi nowych sił, a potem jakaż to była radość, gdy złożyłem swój łup w namiocie i długo się temu łupowi przypatrywałem na pustkowiu w noc jasną. Czasem tylko ciszę majestatyczną przerywało mi melancholijne wycie wilków, lub niemiły krzyk puhacza. Wogóle najmilsze są dla mnie te wspomnienia z życia, gdy musiałem odmawiać sobie nieraz rzeczy najnieodzowniejszych i walczyć.

radzę wybierać na podchodne jak najjaśniejsze barwy i unikać nagłych i szybkich ruchów i zwrotów. Przytoczę tutaj dwa wypadki z mojego życia, które uważam za pouczające co do tego jak się zachować, ażeby nie być dostrzeżonym przez zwierzynę.

Wybrałem się pewnego razu na podchodne u brzegu jeziora górskiego Ara-Kul w Tian-Czau, i chcąc podejść koziorożce szedłem po skale w górę. Nagle spostrzegłem, że na 300 m. nademną zrobił się ruch, a kiedy bliżej się temu przypatrzyłem, dostrzegłem, że stado wilków złożone z 15—20 sztuk znajdowało się tutaj w rozsypce. Niektóre z nich węszyły po ziemi, inne ułożyły się zupełnie tak samo, jak psy. Ponieważ wiatr był dobry, a wilki nie zdążyły mnie jeszcze dostrzedz, przeto zdołałem się przecisnąć bokiem i znaleźć się w takiej pozycji, że od wilków odgradzał mnie okrągły blok skalny. Zasłonięty w ten sposób szedłem wciąż pod górę, chcąc

przybliżyć się do wilków, ale nie mając wcale zamiaru strzelać do nich. W lecie niewiele przyjdzie ze skóry wilczej, a strzał mógł wypłoszyć wszystkie kozy i muflony. Powiodło mi się przyczołgać do pagórka, oddalonego od stada o jakieś 80 kroków. Wtedy zdjąłem z głowy kapelusz i bardzo ostrożnie przechyliłem się, patrząc na wilki. Zauważyłem, że jeden z nich bardzo się zainteresował moją osobą, a na ten widok nabrałem nagle ochoty do wycelowania. Opuściłem się zatem wolno na dół, przyniosłem fuzję, nastawiłem celownik, podniosłem znów głowę w górę, ażeby raz jeszcze przypatrzyć się wilkom. Któż opisze moje przerażenie, gdy w tej samej chwili ogromna szara masa jak wicher przeleciała nad moją głową. Był to właśnie ten wilk, który mnie poprzednio obserwował, a który teraz zerwał się w panicznym strachu i szczekał. Kiedy już trochę ochłonąłem, dostrzegłem uciekające stado, strzeliłem jednak i zraniłem jedną sztukę, której potem już nie mogłem odnaleźć. Jaki mógł być powód, że ten pierwszy wilk przeskoczył nad moją głową? Przypuszczam, że głowę moją, której czubek aż do oczu tylko widział, wziął za świstaka i chciał go sobie upolować, kiedy jednak spostrzegł omyłkę, przestraszył się okropnie i uciekł przerażony. Strach mój był chyba nie mniejszy, a co gorsza jeszcze niefortunnym strzałem spłoszyłem daleko cenniejsze stado kozic.

Inny wypadek przytrafił mi się na podchodnem, gdy w Turkiestanie polowałem na rogacze. Ujrzałem wówczas bardzo silnego kozła w dolinie podemną. Podszedłem bliżej, ale mój kozioł odskoczył w bok i ukazał się znów na łące w odległości jakichś 300 kroków. Nie miałem żadnej osłony, ale na szczęście ubrany byłem w kurtkę czerwonawo brunatną, zaszyłem się zatem, jak tylko to się dało zrobić, w dość wysoką trawę i piąłem się równolegle z kozłem pod górę. Uszedłszy w ten sposób 150 kroków, dotarliśmy obaj do takiego miejsca, gdzie jeden od drugiego przedzielony był małą ścianą skalną, i wówczas nie mogliśmy się widzieć wzajemnie. Tutaj kozioł się zatrzymał, ja zaś puściłem się możliwie szybko naprzód, a gdy doszedłem na samą górę skały, ujrzałem tutaj ku ogromnemu zdziwieniu swemu mojego kozła, który również z ciekawości doszedł dotąd, ażeby się przekonać, jakie to stworzenie znajduje się w jego pobliżu. Ponieważ byłem oddalony zaledwie o 15 kroków, więc chyba nic dziwnego, że dzisiaj rogi jego kapitalne zdobią mój gabinet.

Sarny są wogóle zwierzętami bardzo ciekawemi, jeżeli też nie czują wielkiego niebezpieczeństwa, to choćby nawet narazie się przestraszyły, powrócą w to miejsce, ażeby się przekonać, co to ich tak przeraziło. Może myślą, że się omyliły? Nie wykonywając żadnych ruchów, można w ten sposób bardzo długo nawet przykuć sarny do pewnego miejsca. Gdy sarny nie są zupełnie pewne, czy im grozi niebezpieczeństwo, to wtedy grzebią przedniemi nogami ziemię, rzucają przelotnie oczami i nie mogą się zdecydować na ucieczkę, zwłaszcza wtedy, gdy się zacznie gwizdać. Tak samo zachowują się kozice, wobec których, nie chcąc być dostrzeżonym, trzeba zachować jak największy spokój, a wtedy można być pewnym, że przybliżą się nawet na kilkanaście kroków.

Najtrudniej wszakże zwierzynie poznać człowieka wtedy, gdy spadł śnieg, a myśliwy ma na sobie biały płaszcz z kapturem. Pewnego razu np. siedziałem sobie w śniegu i spostrzegłem stado giemz złożone z jakich 40 sztuk. Stado to przybliżyło się tak do mnie, że giemza je wiodąca zatrzymała się o 5 kroków i zaczęła mnie się przyglądać. Całe stado zgrupowało się koło niej, i tworzyło to bardzo oryginalny obrazek. Nie drgnąłem nawet powieką i tylko wolno, bardzo wolno wiodłem okiem od sztuki do sztuki, nie ujrzawszy zaś żadnego okazu wartego zachodu, nie próbowałem nawet strzelić. Czasami powstawała wśród kozic mała panika i wtedy odbiegały na kilka kroków, ale przybliżały się znowu i przypatrywały się dalej. W końcu jednak zwietrzyła mnie jedna z giemz i wszystkie uciekły w popłochu.

Innego rodzaju rzeczy przytrafiały mi się również. I tak np. pewnego razu straszliwie zmęczony podchodzeniem kozic, usiadłem we wnęku skały i zasnąłem. Kiedy się obudziłem i otworzyłem oczy, na 80 kroków dostrzegłem niedźwiedzia wylegującego w cieniu. Z początku nie byłem pewny, czy to niedźwiedź, ale on to był rzeczywiście. Podniosłem się z ziemi, myśląc, że i on się poruszy. Tymczasem ani drgnął. Zrobiło mi się dziwnie na sercu, a przytem zdawało mi się, że to jednak za wielka sztuka, jak na niedźwiedzia. Nachyliłem się, aby podnieść kamień i rzucić w tę stronę, ale w tej samej chwili potoczyły się kamienie z góry, i wówczas przekonałem się, że to niedźwiedź, a w dodatku jakiś wspaniały okaz! Niedaleko odleciał on odemnie, lecz przystanął i zaczął z wierzchołka skały przypatrywać się mojej osobie. Strzelam! Tam do djabła, pośpieszyłem się zanadto. Niedźwiedź ucieka. Strzelam po raz drugi! Z wściekłym rykiem, którego echo długo rozbrzmiewało w górach, niedźwiedź zwinął się, upadł, stoczył na dół i zatrzymał się tuż przedemną. Był ciężko ranny i z trudem posuwał się dalej ja zaś miałem echo długo rozbrzmiewało w górach, niedźwiedź zwinął się, upadł, stoczył na dół i zatrzymał się tuż przedemną. Był ciężko ranny i z trudem posuwał się dalej ja zaś miałem tak niefortunną pozycję, że nie mogłem nabić po raz trzeci. Nareszcie nabiłem i wystrzeliłem, ale na znaczną odległość. Pomimo to dostałem go! Jego skóra leży w moim pokoju tuż przy otomanie. W każdym razie tego przebudzenia się po słodkim śnie nie zapomnę nigdy, ciarki mnie bowiem przechodzą na myśl, że mogło się stać inaczej. Na szczęście niedźwiedź nie wiedział kogo ma przed sobą i czy to stworzenie, które śpi będzie dobrem dla niego pożywieniem? *(D. c. n.).*



Z RODZINY „CERWIDÓW"

Przed rokiem już zamieściliśmy w Gazecie Leśnej i Myśliwskiej wiadomość o tem, że „w krainie nieograniczonych możliwości" t. j. w Ameryce przymusowo przepędzono przy pomocy kawalerji i piechoty około 30.000 łosi z ich dotychczasowych siedzib na nowe, dla nich przeznaczone przestrzenie. Jak w każdej wiadomości, brzmiącej sensacyjnie, tak i tutaj cyfra została mocno przesadzona, ci bowiem, którzy znają dobrze stosunki północno-amerykańskie, twierdzą stanowczo, że takiej ilości łosiów absolutnie być nie może na drugiej półkuli, chociaż wspaniałe to zwierzę przytrafia się tam bezporównania liczniej, aniżeli w Europie, gdzie właściwie łosia uważać można za stworzenie, znajdujące się na wymarciu.

O ile łoś nie jest tak rozmnożony w Ameryce, o tyle istnieje tam inny gatunek olbrzymiego jelenia, w Europie już dzisiaj zupełnie nieznany, ale w zamierzchłych czasach gęsto rozrodzony w lasach staro germańskich. Rosochy tego olbrzymiego jelenia biegną poziomo ku bokom, nie dążą zaś ku górze i wskutek tego w porze tarcia narażone są nadzwyczajnie na uszkodzenia przez gałęzie. Podczas gdy u łosia kość środkowa wykazuje zupełne przyrośnięcie wszystkich pięciu kości, to u olbrzymiego jelenia na górnym brzegu t. zw. „nogi armatniej" odróżnić można wyraźnie podziałki.

Kiedy pierwsi europejczycy zjawili się w Ameryce i zobaczyli tam przeciągającego w wielkich stadach jelenia, który większy był od największego europejskiego okazu, osądzili, iż mają przed sobą łosia i nazwali go „elk", co odpowiada wyrazowi niemieckiemu „elch". Ludność miejscowa, indjanie nazywali to zwierzę „wapiti" i ten wyraz przyjął się już dziś powszechnie. Później zobaczono również prawdziwego łosia, nadano mu jednak nazwisko angielskie „moosedeer". Oprócz wapiti i prawdziwego łosia istnieje jeszcze w Ameryce trzeci gatunek olbrzymów z rodziny Cerwidów, a mianowicie jeleń kanadyjski.

Poznawszy te odcienia wyrazów, możemy już teraz twierdzić z całą stanowczością, że nie łosiom groziło wymarcie, lecz jeleniom wapiti, które na zimę, z powodu braku paszy w górach, tysiącami schodzą w doliny, ale i tutaj napotykają na wysoką kulturę i pozbawione obszernych pastwisk giną marnie z głodu. Wobec tego rząd Stanów Sjednoczonych wyznaczył ogromne sumy, ażeby wielkie masy tej dumnej zwierzyny przepędzić do takiej miejscowości, gdzie znalazłyby pomyślniejsze dla siebie warunki do istnienia.

Wapiti pod względem wyszukiwania sobie żywności jest stworzeniem bardzo niezaradnem, tymczasem zaś łoś ma już w naturze swojej podejmowanie bardzo dalekich wędrówek, co zaobserwować można na przechowywanych jeszcze jak relikwie w Niemczech łosiach, mających swoją siedzibę w nadleśnictwach Ibenhorst i Tawellningken na Litwie pruskiej. Od przeszło 100 lat łoś doznaje w Prusach szczególniejszej opieki państwowej. i gdyby nie ta opieka, oddawna już byłby wytępiony.

W r. 1848-ym, w tej „Wiośnie ludów" kiedy wszystkie prawa się rozluźniły na krótko

spuszczono z oka zwierzostan łosi. I cóż się okazało? Oto nawet taki krótki przeciąg czasu wystarczył, ażeby ten zwierzostan łosi spadł do sztuk 16-tu i wielkiej potrzeba było staranności oraz odświeżenia krwi za pomocą sprowadzonych ze Szwecji okazów, ażeby szlachetna ta zwierzyna zaczęła znów się rozmnażać. Obecnie w pruskich lasach państwowych jest około 500 — 600 sztuk łosi. Wyżej poza tę normę zarząd pruskich lasów państwowych niechce się posunąć z tego względu, że łosie wogóle wielkie w lasach wyrządzają szkody. Podług wykazów urzędowych, w Szwecji w jednym tylko obrębie leśnym zniszczyły one drzew na sumę 200.000 koron, a w Finlandji kasa państwowa musiała w jednym tylko roku ubiegłym wypłacić 50.000 koron odszkodowania za straty, poczynione przez łosie w posiadłościach prywatnych. Wobec tego w Prusach Wschodnich dozwolone jest corocznie na kilka tygodni polowanie na łosie, nie wielu jednak wśród niemców jest takich myśliwych, którzyby mogli się pochwalić ubiciem tego stworzenia.

Oprócz łosia, wapiti i jelenia kanadyjskiego, w Ameryce Południowej żyje jeszcze gatunek cerwidów, noszący nazwę jelenia kordyleryjskiego—*Venado*. Jest to mały jeleń górski, co do wielkości i kształtów najbardziej podobny do naszego daniela, chociaż w ruchach swoich nie ma



takiej ostrości, kańciastości. Przeciwnie, uciekający trwożliwie venado może wprost zachwycić myśliwego gracją, z jaką bajecznie szybko przeskakuje przez kłody i wywrócone drzewa. Maść jego jest jasnoszara i tylko zwierciadło ma czysto-białe. Krótkie, ale bardzo mocne rogi można najlepiej porównać z rogami naszego przeciętnego kapitalnego rogacza. Wieńce jego przy róży bywają często mocno zperlone, świece ma duże, a nie zdarzyło się nigdy znaleźć okaz starszy ponad szóstaka. Rogi odrzuca w maju i czerwcu t. j. na początku zimy tamtejszej, a przy końcu września w nowym już ukazuje się blasku. Ponieważ tutaj niema drzew i tylko w wielkich ilościach znajduje się twarda trawa kordyljeryjska, która temu jeleniowi wyłącznie dostarcza paszy, przeto proces tarcia załatwiany bywa na krawędziach skał.

Jelenie venado zawsze zbierają się w duże stada, po 11 i więcej sztuk, a w takiem stadzie więcej bywa łań niż byków. Spłoszone uciekają zawsze pod górę. Jeleń kordyljeryjski liczy więcej na swoje świece, aniżeli na łyżki, i dlatego polując na podchodne niepotrzeba się bardzo liczyć z kierunkiem wiatru, a natomiast dbać o to, ażeby myśliwy był dobrze osłonięty. Gdy już padł strzał, a zwłaszcza gdy jedna sztuka padła, to wtedy całe stado ogarnia taki strach paniczny, że lecą na oślep, tratują się, ale po

chwili, dostawszy się już na górę, przystają odrazu i rozglądają się naokoło, bijąc badylami w ziemię. Chcą one wtedy zbadać przyczynę niezwykłego huku. Mięso tego jelenia jest co do smaku zbliżone do mięsa naszych saren, chociaz ma ono także odcień smaku daniela. Górska ta zwierzyna niewielu liczy wrogów, reprezentowana jest też nadzwyczaj licznie, tem więcej, że nawet noga myśliwego ukazuje się bardzo rzadko na tych bezkresnych przestrzeniach.

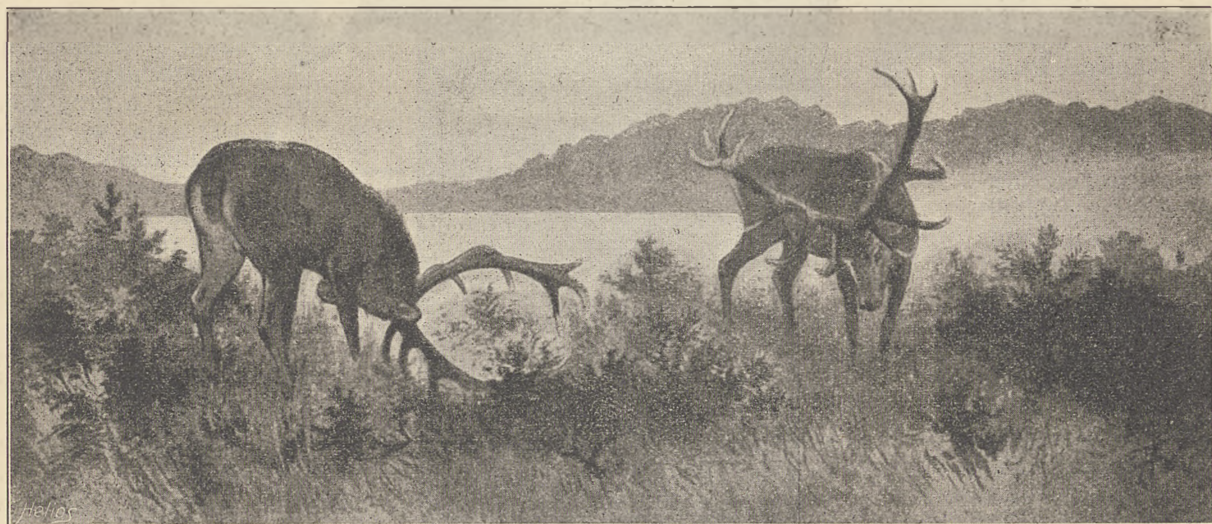
Królami naszych lasów są niewątpliwie jelenie, których rogi zdobią ściany zarówno zapalonych myśliwych, jak i zwykłych, zamożniejszych osobników. Na miano królów zasługują one dlatego, że są przedewszystkiem piękne co do kształtów, zgrabne, a jednak robią wrażenie stworzeń o niepośledniej sile; w dodatku nie są one wcale dla ludzi niebezpieczne i tylko podczas bekowania nie radzimy nikomu zbliżać się do nich.

nak w górnej szczęce dwa wielkie wychodzące na zewnątrz zęby sieczne.

Rozróżnianie jelenia podług budowy czaszki i uzębienia przedstawia trudności, natomiast na podstawie badylów, czyli nóg, można określić dwa gatunki t. j. długo i krótko badylowe.

Inne znamię charakterystyczne tworzą u tych zwierząt gruczoły skórne, zawierające w sobie specjalną ciecz. I tutaj również gatunek piżmowców wyróżnia się bardzo od wszelkich innych jeleni. Samiec ma na podbrzuszu pomiędzy tylnemi nogami worek z piżmem, z którego wydobywa się ciecz mocno woniejąca. Piżmowce mają również na wątrobie bąbel z żółcią, czego nie znajdziemy u innych jeleni.

U rozmaitych gatunków jeleni jako gruczoł skórny ukazują się t. zw. łzawice, z których również wydobywają się ciecze woniejące; podobne gruczoły znajdziemy jeszcze na badylach, schowane są one jednak w kępkach włosów.



Systematyczne rozróżnienie gatunków i rodzajów tej rodziny stworzeń przeżuwających przedstawia wielkie trudności, w samej bowiem budowie i barwie rodzina Cerwidów jest bardzo niejednakowa. Pod względem wielkości wyjątek tworzą: łoś, wapiti i pudu andeński. Ale i tutaj zachodzi różnica, podczas bowiem gdy łoś i wapiti dochodzą w grzbiecie do wysokości 2 m., pudu wyrasta zaledwie do 30 cm:

Rozróżnić pojedyńcze gatunki można jeszcze najlepiej po rogach, ale wielkość tych rogów zależy zawsze od warunków, wśród jakich jelenie się odżywiają. Zresztą rozróżniać po rogach można tylko byki, łanie zaś nie posiadają takiej ozdoby głowy. Tylko samica renifera ma rogi, które jej służą jako broń przeciw drapieżnikom. Samiec renifera ma rogi większe od samicy. Nie posiadają rogów zupełnie dwa gatunki jeleni, a mianowicie: piżmowce i jeleń błotny, na miejscu jednak rogów posiadają one jed-

Ciecze wydobywające się z tych gruczołów nożnych mają swój specyficzny zapach, po którym się jelenie w lesie poznawają i wyszukują.

Lydekker (*The Deer, of all Lands; a History of the Family Cervidae)* dzieli rodzinę jeleni na 11 gatunków i 18 podgatunków, 57 rodzajów i 91 ras. Jelenie rozpowszechnione są w Europie, Azji i Ameryce; w Australji i Nowej Gwinei niema ich wcale, w Afryce zaś zjawiają się tylko na wązkim pasku północnym tej części świata.

Gatunki są następujące (11 i 1 = jelenie i piżmowce):

1. *Rangifer,* renifer, bardzo rozpowszechniony na północy Europy i Azji;

2. *Alces,* łoś, podobnie do renifera rozpowszechniony:

3. *Cervus,* jeleń właściwy, dzielący się na 23 rodzaje i podgatunki: jeleń kanadyjski, daniel, rusa (jest ich kilka rodzajów w Indjach,



w Chinach północnych, mają zaś przeważnie rogi trzykątne):

4. *Rucervus*, w Azji Południowej, o oryginalnej budowie rogów;

5. *Cervulus*, albo mantyak, o oryginalnych, małych rogach i dwóch dużych zębach siecznych;

6. *Elaphodus*, w Indjach i na Jawie;

7. *Chydropotes*, jeleń wodny, bez rogów, ale z dwoma dużemi zębami siecznemi; żyje nad brzegami rzek w Chinach;

8. *Capreolus*, sarna, dzieląca się na trzy rodzaje;

9. *Ellaphurus*, jedyne egzemplarze znajdują się w ogrodach cesarza chińskiego, na wolności jednak nigdy ich nie widziano;

10. *Mazama*, jeleń wirgiński, błotny, pampas;

11. *Pudua*, czyli pudu andeński;

12. *Moschus*, czyli piżmowiec.

Co się tyczy pierwotnych kształtów jeleni i pierwotnej ich ojczyzny, to najprawdopodobniej niemiały one dawniej wcale rogów, a do takiego prototypu najbardziej właśnie są zbliżone jelenie bezrożne,—za ojczyznę zaś ich uważać należy Europę, zkąd rozprzestrzeniły się na Azję i Amerykę.



W imię idei podniesienia leśnictwa u nas!

„Aby budować innych —
— Potrzeba wpierw zbudować siebie".
(A. Mickiewicz).

Niektóre statystyki porównujące lesistość naszą w Królestwie z krajami ościennemi — wykazują, że: Austro-Węgry posiadają dziś 30% lasu, Niemcy, które są o 25% gęściej zaludnione niż Królestwo, posiadają dziś przeszło 25% — my mamy go zaledwie 19%.

W Księstwie Poznańskiem na 1-go mieszkańca wypada 200 prętów kw. lasu, w Galicji na 1-go mieszkańca wypada 170 prętów kw. lasu, w Królestwie zaledwie na 1-go mieszkańca wypada 120 prętów kw. lasu.

Jak widzimy, ziemie polskie nie odznaczają się bynajmniej tą obfitością lasów, z jakiej słynęły w przeszłości.

Nie mówiąc już o niebezpieczeństwie, jakie zagraża naszemu krajowi z powodu braku opału i materjału — gdy weźmiemy jeszcze pod uwagę szkody wynikające z powodu braku lasów, jako to: gdzie lasy znikły, — tam burze nie spotykające żadnej tamy, hulają po polach, grunt wysuszają; skutkiem braku lasów opady atmosferyczne straciwszy dla siebie swe schroniska, w których przez dłuższy czas wilgoć się zatrzymywała i latem zraszała okoliczne pola, — dziś po większym ulewnym deszczu lub szybszym roztopie śniegu wody rosną i rwą, niszcząc nieraz całe okolice, wiele strumyków i rzeczek skutkiem wycięcia lasów znikło, a rzeki spławne przez podmycie i oberwanie się ziemi piaskiem i żwirem zaniosło; wiele też wskutek wyniszczenia lasów powstało wydm piaszczystych, które zasypują grunta urodzajne. Grady, burze, długotrwające susze, ulewne deszcze i choroby ziemiopłodów w okolicach pozbawionych lasów są nieuniknione, klimat staje się w miejscowościach takich zmienny, a zatem szkodliwy — czego dowody mamy w starożytności. Lasy oprócz tego są źródłem piękna, z którego najwięksi artyści świata czerpali wiedzę do swych utworów!

Lasy wpływają nietylko na dobrobyt rolnika, ale i dla wszystkich mieszkańców są one skarbem nieocenionym, wspólnemi więc siłami ochraniać je i szanować powinniśmy! Zadaniem nietylko leśnika-polaka powinno być utrzymanie tych resztek lasu, które się jeszcze zachowały, odnawiać i pielęgnować je starannie dążenie wszelkimi siłami o podniesienie lesistości kraju przez zalesianie nieużytków, halizn i t. p.

Lecz niestety — pomimo, że rozpoczęto już pewne kroki ku temu — jednak że większość jeszcze społeczeństwa naszego nawet kulturalnego odnosi się do tej sprawy obojętnie, a nawet wręcz przeciwnie, — nie mówiąc już o dewastacyjnem eksploatowaniu lasów — uważa je jako miejsce do pasania bydła, koni, owiec, lub chociaż świń, do lasu wyrzuca się bezładnie kamienie z pola, kalecząc przytem drzewa, — wszelkie odpadki, któreby mogły być w rolnictwie zużytkowane, a które lasom przynoszą szkody, — wreszcie układa się w lesie kupy nawozu, — ponieważ szkoda była takiegoż kawałka pola, — niech więc tam legną się w kupach gnoju różne owady szkodliwe dla lasu, bo rolnictwo nic na tem nie cierpi!

Zaiste w ten sposób postępując wykazujemy niższą kulturę od starożytnych narodów, którzy lasy uważali za świątynie, do których nawet niekażdy śmiertelnik miał wejście dozwolone, — las więc miał u pogan pierwotnych, jak widzimy, większy szacunek niż u nas!

Przez pasanie bydła w lesie czyni się przedewszystkiem szkodę w drzewostanie i zwierzostanie — następnie las się przez to pospolituje wysoce, czego następstwa są bardzo złe i odbijają się niekorzystnie nietylko na służbie leśnej, lecz i samym właścicielu.

Rolnik gdy przyjdzie jesień zbiera plony swych wiosennych prac i trudów, widzi skutki swych zabiegów, a przed oczyma jego przesuwa się w jednym roku cały proces życia roślinnego od samego kiełka aż do pełnego kłosa — leśnik musi czekać na to dziesiątki i setki lat!

Rolnik gdy zbierze w jesieni plony może je łatwo przeliczyć i zamknąć pod klucz i chroniąc je przed kradzieżą i innemi nadużyciami — las przeciwnie zawsze jest otwarty i trudno go ochronić przed najściem niepożądanych gości; znaczny obszar i nader ograniczony przegląd utrudnia dyspozycyę robót i dozór, a zapasy częścią nierachowane i niezamknięte trudno ustrzedz przed nadużyciami, dlatego też nadzór nad lasem wymaga ciągłej czujności, wytężonej energji i uczciwych ludzi — jednem słowem zadanie leśnika jest daleko trudniejsze niż np. rolnika. Rolnik pracuje dla siebie — leśnik dla przyszłych pokoleń! Lasy nasze są przeto po części dobrem publicznem, którego w taki lub inny sposób marnować nie wolno!

Winniśmy więc wszyscy, przynajmniej my leśnicy jak jeden mąż stanąć w obronie lasów! Jednostki bowiem nieliczne, rozdwojone przytem, przy najlepszych chęciach, nic nie zdołają uczynić pod tym względem!

Silna organizacja samych leśników najwięcej tutaj zdziałaćby mogła. Pewna instytucja leśna, która była właśnie powołaną do podniesienia leśnictwa krajowego, mało dotąd zdołała w tej kwestji uczynić, gdyż niestety niektórzy jej kierownicy taką zasadą się rządzą, że nie posunie się sprawa ta bynajmniej naprzód, powiem nawet cofnie nasze leśnictwo wstecz, zasady te bowiem to tylko chęć zdobycia sobie sławy, zjednania klientów dla zakupna np. nasion, narzędzi i t. p., jednem słowem praca egoistyczna, o prawdziwem zaś podniesieniu

leśnictwa w imię idei, bez której żadne wielkie zadanie nie zostało dotąd rozwiązane, niema prawie mowy!

Pierwszem przeto zadaniem doby dzisiejszej powinno być — jak wyżej wspomniałem — stworzenie silnej organizacji pracowników leśnych, ale nietylko tych akademików z dyplomami, ale i tych niestety liczniejszych jeszcze dzisiaj profanów praktyków, którzy więcej może kochają swój zawód, a którym ciężkie nieraz warunki życiowe nie pozwoliły zdobyć tych formuł algebraiczno-trygonometrycznych, mało potrzebnych w życiu!

Aby stworzyć taką organizację potrzeba dbać przedewszystkiem o samych pracowników leśnych, t. j. o stronę więcej interesowaną, pokrzywdzoną! Potrzeba zająć się, aby ci pracownicy leśni nie byli tylko ślepą machiną, od której wymaga się żelaznej pracy bez względu na stan utrzymania, bez żadnej nadziei o lepsze jutro, bez żadnych wyższych aspiracji w życiu! Cóż się u nas bowiem dzieje? Jakkolwiek lasy w każdym prawie majątku przedstawiają dziś największy kapitał, największy dochód, jednakże prasownicy leśni pozostają zawsze u właścicieli na ostatnim planie, są często najniżej uposażeni i cierpią największe i najniesprawiedliwsze prześladowania! Tu p. administrator zniechęcony do kierownika lasu za to, że ten nie chciał wprowadzić bezsensownego odbijania świadków po ścięciu drzewa i t. p. prześladuje go; — tu znów rozgniewany za to, że leśnik o średnim wykształceniu nie pozwalał poniewierać swojej godności znęca się nad nim niesprawiedliwie; tutaj p. ekonom i p. kasjer niezadowoleni, że kierownik lasu chce zaprowadzić pewien ład, pewien porządek, pewną systematyczność w lesie i t. p. starają mu się, w uwłaczający nawet dla nich sposób, „przystawiać stołka“ przed właścicielem, który zamiast stanąć w obronie sprawiedliwości i słuszności, przywiązuje wagę do słów tych panów, którzy przecież są weteranami z trzydziestoletniej wojny, więc chyba mówią prawdę! Tutaj swego czasu jeden z panów tej instytucyi, co to miała przodować nam leśnikom, pisał, że lasy powinny być powierzone dozorowi i kierownictwu ludzi o żelaznem zdrowiu, a także z dużą energją i rzutnością. Tak — słusznie! Lecz wszak i machina przy nadmiernych wysiłkach może nietylko przestać dobrze funkcjonować, ale nawet zupełnie działać, a cóż tutaj mówić o żelaznych zdrowiach i energjach ludzi, którzy nieraz są tak uposażeni, że nietylko nie mogą nic zaoszczędzić na czarną godzinę, lecz i końca z końcem związać trudno; czy żelaznego zdrowia rdza wtedy nie zje, po którem potem ów pan radzi takich ludzi usuwać, zamiast zadbania o nich i przywrócenia im utraconych pro publico bono — sił! W każdym, nawet cięższym od leśnego zawodzie są ludzie silnie i słabo zbudowani. W Niemczech słabych żołnierzy przeważnie biorą do specjalnych korpusów leśnych, a jednak jak tam leśnictwo kwitnie! My więc stajemy się większymi barbarzyńcami od tych, którzy są hakatystami!

Czy energia, rzutność i poświęcenie nieraz życia w obronie dobra swego pracodawcy, nie zniechęci najlepszych jednostek, jeżeli będzie się dbało o tych ludzi tak, jak to np. miało miejsce w jednym z większych majątków na Litwie, że gdy leśniczy tych dóbr poległ jak bohater na stanowisku, broniąc przystępu chłopom pasącym w miejscach wzbronionych bydło, a pozostała po śmierci żona-wdowa z 6-giem dzieci drobnych, której mąż za życia, nawiasem mówiąc, nie cieszył się sympatyą, „p. administratora“, ponieważ nie chciał całować czubków jego żółtych butów, upominała się o odszkodowanie, — wówczas oświadczono jej: „Dobrze, my przyznamy pani odszkodowanie, ale tak jej będziemy dokuczać, że sama zrezygnujesz ze wszystkiego“ — i tak też się stało — biedna wdowa oprócz rozpaczy po stracie męża musiała się jeszcze zajmować procesami. Podobnych przykładów możnaby przytoczyć wiele, nie mówiąc już o innych! Na łamach niektórych naszych pism leśnych podnoszona była kiedyś kwestja, aby nie uposażać leśników polem do obsiewu lub procentami od sprzedaży, czego następstwem są jakoby zaniedbywania się w swych obowiązkach służbowych lub rabunkowy sposób eksploatowania lasu celem zdobycia większych dochodów.

Ja sądzę, że każdy z nas leśników chętnie zgodziłby się na to, by mu nietylko ziemię, ale i inne dodatki w naturze, oprócz mleka naturalnie i kawałka ziemi przy domu pod warzywa, — zamieniono odpowiednio na pieniądze. Uniknęłoby się wtedy wielu nieporozumień z gospodarstwem rolnem, które dla ordynarjuszy leśnych oddaje zawsze najgorsze zboże, kartofle i t. p. i przez to naraża interesowanych na stratę. Z takich i jeszcze wiele innych względów wynagrodzenie w naturze ma dla nas wiele ujemnych stron, o których nie będę pisał, bo każdy z nas dobrze to rozumie.

Odejmując jednak dodatki w naturze, należałoby ustanowić odpowiednie etaty, które w zupełności zadawalałyby wymagania wyżej wspomnianych. Ale niestety u nas chętnie odjętoby te dodatki w naturze z małą tylko podwyżką pieniężnego wynagrodzenia! Dalej nie należy dzielić się na akademików z dyplomami i praktyków nawet o średniem lub niższem wykształceniu, którzy wiele mogliby nieraz działać na polu leśnictwa, gdyby tak nie ignorowano ich. Jest bowiem charakterystycznem, że każdy leśnik dziś poniekąd to nieszczęśliwa ofiara losu, dla której niema żadnego prawa, sprawiedliwości i słuszności, a dużo się przyczynia do tego i to, że zajęcie leśne pomimo ujemnych stron ma pewien urok, więc nęci wielu takich panów intrygantów w majątku niepohamowaną żądzą zazdrości! Dla wszystkich może istnieć u pracodawcy sprawiedliwość i słuszność, jak już wyżej wspomniałem! Najczęściej znów tak bywa, że wskutek tego, iż leśnik mając, wielu wrogów, którzy się tworzą z konieczności przy jego zawodzie, pada ofiarą podłych i nizkich intryg, często znów jest i tak, że pracodawca lub zwierzchnik zniechęca nieraz najlepszego pracowni-

ka swym złem i nietaktownem postępowaniem. Nie należy upatrywać w tym pracowniku leśnym ślepej tylko machiny o żelaznym zdrowiu, nie kierować się przesadną podejrzliwością; nie należy czynić tak, aby ten pracownik leśny był pogrążony tylko całkowicie w tej ponurej szarzyźnie życia, nie widząc i słysząc nic dalej,—należy nie zabijać w nim zaiste tej inicyatywy i energji młodzieńczej, lecz dać mu do rozporządzenia choć trochę chwil, podczas których mógłby jaśniej i szerzej spojrzeć na świat (co jest konieczne przy jego zawodzie), a wtedy zajmie się tenże prawdziwie dobrem majątku, kraju, lasem, czując się przyjacielem swego pracodawcy!

Należy nic nie obniżać, lecz zaiste w trójnasób podwyższać warunki, a wtedy odwdzięczy się on wielokrotnie swą pracą!

Należałoby następnie raz uregulować jakoś tę kwestję, aby ci nieszczęśliwi oficjaliści leśni nie byli zmuszeni przerzucać się ciągle, jak ci cyganie z miejsca na miejsce, prowadząc tak rujnujące życie koczownicze i być ciągle w obawie i trosce o to, czy nie zagraża im utrata nieraz bewzględna posady.

Wymagamy od was panowie pracodawcy poprawy tego nie tylko my leśnicy, lecz i społeczeństwo—kraj, gdyż lasy jak wyżej wspomniałem, są własnością przyszłych pokoleń — kraju, a zatem nie do nas należą!

Taką przeto należałoby znów stworzyć organizację, która miałaby za zadanie regulować wszystkie powyższe kwestje.

Niech więc Centralne Biuro Leśne na czele z naszą „Gazetą Leśną i Myśliwską“ zajmie się stworzeniem takiej organizacji-instytucyi, gdyż ci inni pseudo przodownicy nasi muszą „wpierw budować siebie“.

Tworząc zaś taką organizację - instytucję nie należy idąc owczym pędem, bujać po obłokach, gdy mamy blizko tych, którzy najwięcej zdziałaćby mogli na polu leśnictwa, a o których najczęściej zapominamy. Starajmy się zaś nie być podobnymi do tych, co to zaprzepaściwszy polską Rydzynę obliczoną na miliony,—w celach rehabilitacji rzucili ochłap składający się z kilku tysięcy na cele społeczne!

Należy dalej, idąc za przykładem czcigodnego hrabiego Juliusza Tarnowskiego, stworzyć nie tylko kasę emerytalną specyalnie leśników, lecz i taką, któraby mogła dać pewną gwarancję, że nie zagraża im widmo śmierci głodowej przy steranem zdrowiu lub na starość i aby w razie utraty posady mogli mieć jakiś punkt oparcia, któryby pozwolił przeczekać kryzys siedzenia na bruku.

A gdy stworzymy taką organizację, wówczas leśnicy sami podniosą wysoko nasze tak zaniedbane jeszcze niestety leśnictwo krajowe!

Muszą zaś przedtem ustać wszelkie spory i waśnie pomiędzy nami leśnikami przynajmniej, a pod hasłem: „Czyń każdy w swojem kółku, co okaże Duch Boży, a całość sama się złoży“—zdążamy do lepszej przyszłości, zaczynając też budowy od siebie!

Antoni Uchnast.

Suchowola d. 30 października 1913 r.

P. S. W trakcie niniejszego pisania otrzymałem właśnie list z Centralnego Biura Leśnego, zwołujący na zebranie leśników, być więc może, że nasze marzenia wkrótce zamienią się w czyn, co daj Boże!



Koty w rewirze.

Niema chyba nikogo między myśliwymi, którыby namyślał się co zrobić, gdy napotka kota w swoim rewirze. Pomimo to jednak słyszy się nieraz głosy, które doradzają względność dla tych stworzeń. Przeważnie w obronie kotów występują rolnicy, którzy twierdzą, że milsze im jest zmniejszenie ilości szkodników w postaci mysz polnych od powiększenia zwierzostanu. Dla rolnika jest kot żywą pułapką i wobec tego niechce on dostrzedz szkodliwości tego zwierzęcia pod względem łowieckim. Niegdyś i ja również podzielałem ten pogląd, jestem bowiem przyjacielem wszystkiego, co dodaje życia naturze, nie brałem zaś krytycznie istnienia kotów i byłem przekonany, że jest to zwierzę tak samo pożyteczne, jak każde inne. Jako chłopiec nie umiałem tak patrzeć na świat, jak tego się nauczyłem póżniej, gdy zacząłem brać fuzję do ręki i polubiłem zabawę myśliwską. Co prawda już wówczas słyszałem nieraz opowiadania o tem, jakie to złośliwe potrafią być koty, że jednak tej złośliwości nie doświadczyłem na sobie, więc takie opowiadania puszczałem mimo uszu. W majątku wuja mojego widziałem starą kotkę, która codziennie przynosiła od 7 — 14 sztuk myszy i przechwalała się z tego przeciągłem miauczeniem, za co nie omijała ją nagroda—nieco mleka na talerzyku. Nigdy się nie zdarzyło, ażeby ta kotka, pomimo wielkich zdolności do chwytania, przyniosła kiedy jakiego ptaszka. Cóż więc ona robiła takiego szkodliwego?

Tego rodzaju pytania zadawałem sobie jako chłopiec, później jednak zmieniłem zdanie. Ojciec mój nabył majątek, do którego należał

bardzo ładny stary ogród. Za ogrodem rozpościerała się łąka, a za nią las sosnowy. Tutaj w tym ogrodzie urządziłem sobie mały rewir i polowałem. Na podwórzu strzelałem do szczurów, a do ogrodu nie udawałem się inaczej, jak z teszyngiem, z którego celowałem głównie do ptaków. Rzecz naturalna, że oszczędzałem ptaki śpiewające.

Z czasem nabrałem oka myśliwskiego, i zdumiałem się wielce, że pomimo oszczędzania przezemnie ptaków śpiewających, zawsze znajduję w ogrodzie ich piórka, świadczące, iż tutaj gospodarować musiały drapieżniki. Któż by mógł być tym drapieżnikiem? Na to pytanie jednę tylko zawsze znajdowałem odpowiedź, że nikt inny, jak tylko ptaki drapieżne; stawałem tedy na czatach, wyczekiwałem na pojawienie się ptaków drapieżnych, ale wszystko to było bez rezultatu. Zniecierpliwiony postanowiłem urządzić zasadzkę wieczorem, przypuszczając, że może teraz łatwiej podpatrzę drapieżników.

Długo siedziałem na ławce pod rozłożystemi gałęziami jesionu, i nareszcie ujrzałem przeskakującego w wielkich susach królika. Było to pierwsze w mojem życiu stworzenie łowne, które mi się nawinęło pod strzał. Z lekkiem drżeniem przyłożyłem flintę i wystrzeliłem. Zwierzę zaskomlało i potoczyło się dalej, pomimo zaś starannych poszukiwań nie mogłem go odnaleźć.

Kiedy następnego poranku zacząłem znów robić poszukiwania, o których potrzebie pouczył mnie ojciec, zaszedłem aż za oborę, i tu dostrzegłem mojego królika, przy którym siedział wielki, szary kot. Nie chciałem wierzyć własnym oczom, przybliżyłem się zatem, kot wystraszony uciekł, pozostawiając królika, którego trzecia część była już zjedzona.

Od tej pory skończyła się moja czułość dla kotów, i dla jednej tylko starej kotki czyniłem wyjątek, resztę zaś tępiłem zawzięcie, gdzie się tylko dało. W tem tępieniu dopomagały mi za dnia ptaszki, których drżące piski i trwożne przeskakiwania z gałęzi na gałęzie wskazywały, iż w pobliżu na kulkę z mojego teszynga czeka jeden z tych rabusiów. Na noc zakładałem żelaza, lub też skonstruowaną przezemnie pułapkę skrzynkową. Już po dwóch tygodniach okazały się błogie skutki tego tępienia, rzadko bowiem napotkać można było rozerwane ptaki, a piórka ich nie fruwały po ogrodzie. Cóż jednak z tego, że poległo z tuzin tego gałgaństwa, kiedy pladze ciągle nie było końca? Ponieważ pułapka mojego pomysłu zawodziła czasami, więc kupiliśmy już prawidłową, a ta sprawiła się doskonale i w przeciągu trzech lat schwytaliśmy 8 tchórzów, 5 łasic i... 81 kotów. Że dwa pierwsze gatunki stworzeń zasłużyły na taką karę, temu nie przeczę bynajmniej, mniej one jednak winne aniżeli koty, zwłaszcza, gdy grasują w takiej ogromnej ilości na małej przestrzeni, gdyż ogród nasz, choć stary i piękny, obejmował zaledwie $1^{1}/_{2}$ morgi.

Po wytępieniu kotów w pobliżu domu, przeniosłem nasze pułapki na pole, wyszukując dla nich odpowiednie miejsce. I tutaj w ciągu kilku tygodni pochwyciliśmy 7 kotów, a były pomiędzy niemi egzemplarze nawet wspaniałe, pod względem siły i objętości nie ustępujące wcale dzikim kotom, Trudno przypuszczać, ażeby się tak wypasły i rozrosły na łowieniu myszy.

W tem miejscu chciałbym zwrócić uwagę wogóle na owo chwytanie myszy polnych przez koty. Polując pewnego razu na przysiadkę na kozła, spostrzegłem kota, który siedział w koniczynie, i jakby się zdawać mogło, pilnował otworu myszej nory. Ze względu na kozła puściłem kotu to jego wysiadywanie płazem, stwierdziłem jednak fakt, że w przeciągu $1^{1}/_{2}$ godziny nie nawinęła się ani jedna myszka. Tymczasem sama obecność kota w pobliżu przeszkadzała swobodnym ruchom zajęcy i królików, które tutaj poprzednich wieczorów widywałem wychodzące na żer, a które teraz nie ukazały się wcale.

Nie, panowie rolnicy! to łapanie myszy polnych nie przyniesie wam z kotów wielkiego pożytku. Być może, iż są koty tak szlachetne, że wybrawszy się w pole, poprzestają tylko na myszkach, ale i one nie przyniosą korzyści, a zaszkodzą myśliwemu nawet wtedy, g d y się nie c z e p i a j ą zwierzyny, Czyż jednak są koty, które by nie czepiały się zwierzyny? Temu nie uwierzę nigdy. Niema takiego kota, któryby przeszedł spokojnie obok małego zajączka, a sam



widziałem, jak koty rozrywały ptaki. Że nawet grubsza zwierzyna nie ujdzie szponów tej bestji, mam dowód w tem, że w ciągu jednej nocy koty wytępiły całą stajenkę z wielkim mozołem hodowanych olbrzymich królików belgijskich.

A więc: należy tępić tych drapieżników wszelką bronią i wszelkiemi sposobami!

W. K.



Postrach chłopski.

Pod powyższym tytułem zawierają od kilku miesięcy wszelkie pisma austryackie prawie stałe rubryki. Chodzi tutaj o niezwykłe, a zagadkowe zdarzenie: w styryjskich alpach grasuje od dłuższego czasu niewiadomego pochodzenia i gatunku zwierz drapieżny, który niesłychane w trzodach na przestrzeni 200 kilometrów czyni spustoszenie. Niema prawie dnia, resp. nocy, aby jedna lub kilka sztuk przez zwierzę to nie zostały rozszarpane. Najciekawsza przytem jest ta okoliczność, iż nikt dotąd dokładnie rodzaju jego oznaczyć nie może, nikt bowiem go nie widział dokładnie, a ci, którzy się z nim zetknęli, najsprzeczniejsze dają opisy. Według jednych jest to więc silny lew na dwa metry długi, według innych wreszcie ryś lub wilk. Słowem o mistycznym tym drapieżniku na podstawie, iż strach ma wielkie oczy, krążą najrozmaitsze legendy, których wyraz najlepiej określimy, jeżeli damy wyjątki z różnych pism, sprawą tą się zajmujących.

Otóż korespondent wiedeński „Kuryera Porannego“ pisze, co następuje:

Alpy Styryjskie słyną z piękności. To też zimą i latem przepełnia je mnóstwo turystów. Nawet mróz ciężki nie odstrasza w niedzielę wiedeńczyków przed puszczaniem się na okryte białym kobiercem śnieżnym stoki Alpejskie.

Od paru tygodni jednak liczba turystów się zmniejszyła. Nic dziwnego. Nie każdy ma ochotę wpaść w paszczękę i dostać się w łapy potężnej, na dwa metry długiej lwicy, prowadzącej z sobą zresztą spore już lwiątko.

Skądże w Alpach Styryjskich pojawiły się lwy? Wszakże dzisiaj tylko Afryka i Indye są ojczyzną lwów, podczas gdy w innych krajach rozlicznych ten gatunek strasznego kota już całkowicie wyginął.

Bardzo to romantyczna historya. Pokazuje się teraz, że niespełna przed rokiem z pewnej menażeryi wędrownej w Styrji uciekło kilka zwierząt drapieżnych, a mianowicie lwica, która wtedy była już ciężarną, hyena i kilka wilków. Właściciel menażeryi spostrzegłszy stratę, zniknął bez śladu. Wywędrował gdzieś na Węgry, do Szwajcaryi, czy do Włoch. Bał się, że władze i ludność pociągną go do odpowiedzialności, władze za nieostrożność, a ludność wiejska za straty, które wyrządzą dzikie zwierzęta.

I tak się stało. Zaraz na wiosnę, gdy wypędzono bydło w góry, chłopi spostrzegli, że parę razy na tydzień w rozmaitych punktach południowych Alp Styryjskich zaczęły ginąć całe sztuki bydła, inne bydło znowu, jak woły, krowy, owce znajdowano poszarpane na sztuki w najokropniejszy sposób, z niektórych powysysano krew, inne porozrywano.

Równocześnie zauważono, że w całej okolicy, i to w promieniu niesłychanie długim zniknęła w lasach Alpejskich zwierzyna. Owe tajemnicze drapieżniki wytrzebiły ją do sztuki.

Zrazu nie zdawano sobie sprawy, co to za zwierz tajemniczy — myślano bowiem, że ma się do czynienia z jednem zwierzęciem, obecnie przekonano się inaczej, więc liczne rzesze myśliwych dopuszcza się do polowania z naganką. Ostatnim razem użyto 400 chłopów jako naganiaczy.

I wtedy zaszła rzecz niebywała.

Jeden z uczestników, notabene myśliwy zawodowy*, przyznał się, że widział owo zwierzę, ale ów widok odebrał mu odwagę do strzelania, jakkolwiek miał w rękach przepyszną i nabitą dubeltówkę. Oto ów zwierz tajemniczy był żółty, miał dwa metry długości i długi, cienki ogon, zakończony chwastem. Ten opis wystarczył, ażeby znawców pouczyć, iż mają do czynienia z lwicą. Brak grzywy bowiem tłómaczył dostatecznie, że była to lwica.

Wnet po tem odkryciu przyszło inne. Zaczęto zbierać ślady tajemniczego zwierzęcia. I wtedy spostrzeżono, że obok odcisków łap wielkich, są także odciski łap małych, które jeszcze nie mają tak wielkich pazurów jak wielkie łapy. Stąd wyprowadzono wniosek, że lwica ma przy sobie małe. Co najlepsze, odkryto wnet ślady wilków i ślady hyeny. Ta ostatnia jest najmniej niebezpieczną, ponieważ hyena nigdy się nie rzuca na żywe stworzenia, lecz karmi się trupami i padliną.

W całych Alpach Styryjskich panuje jednak teraz wielka trwoga. Dopóki bydło jest na pastwiskach, owe dzikie drapieżniki, a przedewszystkiem lwica nie rzuca się na ludzi, ponieważ bydło zaspakaja jej głód całkowicie. Gdy jednak nastanie zima, a bydło powróci do obór, wówczas lwica niewątpliwie zacznie się rzucać na ludzi. Już dzisiaj zakazano dzieciom chodzić do szkół, w Alpach bowiem szkoły leżą odosobnione na polankach i nieraz dzieci mają do szkoły godzinę albo półtorej godziny drogi pieszej.

*) Nie był to myśliwy zawodowy, lecz nauczyciel z szkoły słowiańskiej w Adelsbergu, pan Jendrzyć. (Przypisek Red.)

Łatwo się tedy może zdarzyć, iż lwica będzie się na takie dzieci szkolne rzucała.

W pismach wiedeńskich pojawiły się odezwy, nawołujące myśliwych do wzięcia udziału w tem polowaniu na owego lwa. Do takiego polowania trzeba mieć jednak specjalnie ułożone psy. Takich psów w Austryi brakuje. Podobno będą sprowadzone z Anglii i Algieru. ,Niezawodnie przeto pierwsza wyprawa na lwy w Austryi przyjdzie do skutku. Wiedeńczycy mają więc znowu swoją ulubioną „hecę".

Pisma galicyjskie dały jeszcze następujące informacye:

Pod przewodnictwem książęcego, lichtensteinskiego nadleśniczego Rudi'ego, wyruszyła dnia 19 z. m. cała wyprawa na wielkie polowanie, urządzone na Koralpie i Stubalpie na nieznane, drapieżne zwierzęta, które w tamtych stronach napadają na stada. Wyprawa powróciła, nic nie wskórawszy. Jeden uczestnik polowania wytropił z psami bardzo dzikie zwierzę. Wszyscy myśleli, że to wilk, kiedy jednak zwierzę zastrzelono, pokazało się, że to tylko lis. Co za myśliwi, którzy wilka od lisa w biegu odróżnić nie potrafią!*) Ale oględziny byka, którego w Brendlalmie drapieżce rozszarpały, wydało niespodziewane wyniki. Silnemu bykowi z zadu wydarło zwierzę kawał żywego mięsa, wagi kilka kilogramów. Prócz tego byk miał ślady pazurów i zębów na karku, z czego wnioskują, iż napastujących zwierząt było kilka. Leśniczy i myśliwi twierdzą, że jedno zwierzę napadało byka z tyłu, zaś drugie — może młode — przyczepiło się do jego karku. Byłoby to dowodem, iż zwierzęta się rozmnożyły. Do Brendlalmu wysłano większą ilość żandarmów. Jak donoszą, turyści z dwóch jakichś partyj widzieli z odległości trzystu kroków lwa za pomocą dalekowidza. Turyści ci stanowczo twierdzą, że to był lew. Państwowy związek austryjackich leśników i zawodowych myśliwych, po długich pertraktacyach z władzami, wysłał na ich koszt przeciw drapieżnym bestyom małą wyprawę, złożoną z nieustraszonych myśliwych zawodowych, którymi dowodzi autor prac myśliwskiej treści, Hans Sommeregger. Wyprawa musi pokonać wielkie trudności, albowiem lwy kryją się w terenie bardzo wysokim, zalesionym i dzikim. Posterunki żandarmeryi w górach zostały wzmocnione. Napróżno poszukuje się żandarma, który rzekomo zginął. Wyszedł na służbę i więcej nie wrócił. Zachodzi obawa, iż został przez lwa rozszarpany.**)

Popłoch z powodu lwów, które ukazały się w Austryi, przybiera coraz większe rozmiary.

Z Gracu donoszą, iż kilku strzelców widziało lwa na własne oczy. Fakt ten, jak sądzą, pozostaje w ścisłym związku z tajemniczem zaginięciem dowódcy oddziału żandarmeryi, który wyprawiono w Alpy. Przez kilka dni nie natrafiono na najmniejszy nawet ślad zaginionego. Czy wspomniany osobnik, nieobeznany dobrze z okolicą, poprostu zabłądził, czy też stał się pastwą dzikiego zwierzęcia, tego stwierdzić dotychczas niepodobna.**)

W każdym razie popłoch wśród miejscowych wieśniaków przybiera coraz bardziej niepokojące rozmiary.

Dzikie zwierzęta jeszcze dotychczas ujęte nie zostały. Nie zostały ujęte mimo przedsięwziętej, prawdziwej mobilizacyi strzelców i żandarmów.

Sprawa zaczyna przybierać rozmiary epopei. „Berliner Tageblatt" i „Neue Freie Presse" podają korespondencyę uczestnika jednego z owych polowań d-ra Russmana. Twierdzi on, iż wchodzi tu w grę nie lew, lecz puma (nie trzeba zapominać, iż zwierzęcia owego jeszcze nikt z żyjących nie widział).

Szkody, wyrządzane przez drapieżnika, mają dochodzić do wprost niebywałych rozmiarów. Co drugą noc pada ofiarą jego dobrego apetytu po kilka sztuk bydła z pośród trzód, wypędzanych w góry przez wieśniaków. Padliny wykazują ślady na 3 centymetry długich pazurów.

Popłoch panuje nieopisany. Dosyć powiedzieć, że pozamykano wszystkie okoliczne szkoły. Przeprowadzono sieć telefoniczną na przestrzeni 140 kilometrów, ustanowiono specyalne oddziały strażnicze, składające się ze 150 żandarmów po styryjskiej i 20 po karynckiej stronie, nocą czynne są specyalne patrole strzelców i żandarmeryi. I wszystko to nic nie skutkuje; lew czy puma, czy też ryś, jak podobno wykazują najnowsze „badania", żyje i w dalszym ciągu pastwi się nad bydłem i szerzy popłoch wśród wieśniaków. Podobno wina to „mgły". Tak mówią fachowcy. Ci sami fachowcy uspakajają ludność i zdenerwowaną już nieco opinię, twierdząc, iż mimo wszystko, wysiłki setek strzelców nie są zupełnie bezskuteczne. Powoli udaje im się zacieśniać krąg, w którym (jak im się zdaje) zamknęli drapieżnika. Robią to wprawdzie z iście austryjacką, dyplomatyczną ostrożnością, lecz w każdym razie robią.

Znany myśliwy i pisarz Dr. Franciszek Skowronek pisze o tej niezwykłej awanturze myśliwskiej do Berlińskiego Tageblattu co następuje:

Z tych różnych sprzecznych wiadomości i opisów zagmatwanych trudno zestawić jakiś jednolity obraz. Obecnie nawet według zdania pewnego austryackiego myśliwego tym fenomenalnym szkodnikiem nie ma być zwierz z rodzaju kociego, ani wilk lub ryś, lecz zwykłe polujące kundle. Z wszystkich tych wersyi ta wszakże wydawać się musi najmniej prawdopodobną. Że psy, które wspólnie polują z tym samym skutkiem, co wilki, sarny i pomniejszą zwierzynę dogonić i rozszarpać potrafią, jest wiadomem. Wszakże nigdy jeszcze nie było wypadku, ażeby psy rewirujące odważyły rzucić się na bydło.

A że przestrzeń objęta temi wypadkami wynosi przeszło 200 kilometrów, musiałaby chy-

*) O tym fakcie żadne pismo nie donosiło, więc widocznie jest to bajka owego galicyjskiego korespondenta. (Przyp. Red.)

**) I to nie jest prawdą, gdyż ów żandarm z powodu okaleczenia nogi, drugiego dnia powrócił. (Przyp. Red.)

ba jednocześnie w kilku miejscach wybuchnąć epidemia psów polujących, które specyalnie uwzięły się na zwierzęta domowe.

Według mego zdania, ze wszystkich wiadomości, jedynie tylko umieszczone w „N. Fr. Presse“ Dr. G. Russmana, na podstawie własnych badań powzięte zdanie może być miarodajne. Zbadało ślad, odchody, jak i rodzaj ran u rozszarpanego inwentarza, a które bez najmniejszej wątpliwości na wielkie zwierzę rodzaju kociego wskazują. Na gatunek koci wskazuje też zawsze jednolita napaść z tyłu swej ofiary, głębokie jak nóż ostre wcięcia pazurów, skok na grzbiet i przegryzienie karku, przyczem szerokość szczęk, którą na sześć centimetrów oszacowano. Że o wyłamaniu się większego drapieżnika z menażeryi w tej okolicy nikt nie słyszał, niczego nie dowodzi, gdyż psychologicznie byłoby to zupełnie zrozumiałem, gdyby właściciel czy to cyrku, czy menażeryi wypadek ten w tajemnicy zachował.

Bezdrożna i dzika górska okolica Koralpy tłomaczy nam dostatecznie dzień i noc trwające bezskuteczne patrolki 170 strzelców. Niema innego sposobu, jak cierpliwie wyczekiwać ponowy, która nietylko co do jakości drapieżnika da nam wyjaśnienie, ale i ono samo da się otoczyć i doprowadzić na rozkład.



Kobieta jako łowczyni.

Odczyt Wł. Janty-Półczyńskiego w Towarzystwie Łowieckiem w Poznaniu, dnia 1 listopada r. b.

Nie wiem, czy nagłówek ten zupełnie odpowiedni, ażeby więc uniknąć wszelkiej dwuznaczności i nie narazić się płci, o której względy chodziło mi zawsze i chodzić będzie usque ad finem, z góry objaśniam, iż mam tu na myśli kobietę łowczą nie w jej działaniu w salonie lub buduarze, uzbrojoną w zabójczą broń wdzięku i zalotności, ale kobietę myśliwą — kobietę z strzelbą w ręku.

Nie piszę historyi — bo to rzecz dla myśliwego nudna — nie będę więc wygrzebywał starych hieroglifów egipskich, na których już myśliwe z łukiem w dłoni odnaleźćby można, ani zagłębiać się będę w żółte, kurzem starości poprószone szpargały, w których księżniczki, królowe, ba — carowe nawet z arkebuzą lub skałkówką w dłoni odszukać nie byłoby trudno — nie — nadobne koleżanki od strzelby, wdzięcznego zadania o waszych to działaniach współczesnych na polu łowiectwa — pisać się podjąłem.

Kobieta amazonka w czerwonym fraku z cylindrem na głowie, w siodle za sforą psów, ognistego kierując rumaka, znana jest dobrze od dawna i do tej myśliwskiej rozrywki nie trudno jej było się przyswoić. Wszakżeż strój malowniczy uwydatnia zręczność ruchów i nadaje wdzięku nawet mniej powabnej powierzchowności. Dla kobiety w siodle, to tylko jeszcze jeden sposób więcej uwydatnienia powabu — jedno pole więcej popisu lub podboju.

Inaczej rzecz się przedstawia z kobietą ze strzelbą w ręku — tam nie chodzi o podbój sercowy, ale o rozkład realny, nie o tryumf, ale o trofeje. — Działalności tej odpowiadają też akcesorja pomocnicze zewnętrzne: krótki, szary, brunatny lub szaro-zielony kostium, nie podlegający kaprysom mody, kapelusz lub czapka męzka, grube obuwie. Jakżeż to wszystko mało udziela sposobności do uwydatnienia wdzięku kobiecego!

Czy kobieta w tych warunkach nadaje się na łowczynię, czy to odpowiada jej wewnętrznej kwalifikacji? Gdybym pytanie to postawił sufrażystce, zawołałaby z pewnością: naturalnie! Kobieta we wszystkich sportach i zawodach dorównać może mężczyźnie. — Mnie wszakżeż ta rzecz nie wydaje się tak *naturalną* i jeżeli zgodziłbym się na to, że *może* polować, to nie, że bezwarunkowo *powinna*. — Przedewszystkiem postawmy pytanie, czy kobiecie należy zabijać?

Wiemy o pułkach dziewek dahomejskich, które walecznością i okrucieństwem niczem nie ustępowały swym ojcom i braciom, ale działo się to w dziczy środkowej Afryki. Wiadomo nam też z historyi o kobietach biorących udział w walkach orężnych. Znamy dziewicę z Orleanu i Saragossy, z naszej historji Platerównę i wiele innych, ale były to tylko sporadyczne porywy krewkich niewiast, wynikłe w przełomowych chwilach narodu, w chwilach, gdzie walka o byt spowodowała niektóre z nich do niezwykłych, z subtelnym ich organizmem w niezgodzie będących porywów.

Z reguły kobiety cywilizowane zdala trzymały się od walk orężnych, jako niewłaściwych ich powołaniu. I słusznie! Zadaniem kobiecem jest rany leczyć, cierpienia ludzkie koić, a nie je zadawać.

Pomiędzy zabiciem człowieka a zwierzęcia jest jednak różnica, a polega ona na tem, że człowiek jest stworzony na to, aby żył, gdyż z kulturalnego działania jego przysparza się korzyść dla ludzkości, gdy z dzikiego zwierzęcia odwrotnie wynika korzyść dopiero, gdy jest zabity, gdy leży na rozkładzie. To też, gdy do zabicia człowieka potrzeba rozkiełznanych namiętności, zabicie zwierzęcia odbyć się może w spokoju, jakoby kośba dojrzałego łanu; bo to jest w rzeczywistości tylko żniwo na myśliwskiem polu. To też zabijając zwierza niekoniecznie budzić w sobie potrzeba demona walki, gniewu i okrucieństwa.

Widziałem wiele kobiet z fuzją w ręku —

zabijających, niechaj mi więc pewien sąd o nich wydać będzie dozwolone.

Kobieta myśliwa mogła stanąć do współzawodnictwa porówno z mężczyzną na niezwykłem dla niej polu działania wtedy dopiero, gdy we walce ze zwierzęciem ustała siła fizyczna, gdy ona zamieniła się na pogoń, na polowanie, t. j. z udoskonaleniem broni, gdy lekkie 6 funtowe śrótówki, 6 milimetrowe sztucery stały się dostępnemi dla drobnej jej dłoni.

Straszny skutek tych broni czyni zabójstwo jakoby sztuką tylko, sztuką subtelną, zimną, spokojną, bez walki, bez gwałtownych namiętności, bez emocyi prawie. Kobieta za pomocą nowożytnej broni zabija bezwiednie, bez świadomości tego, co czyni, a więc bez narażenia uczuć sercowych i właściwości etycznych natury niewieściej.

W taki sposób też polujące kobiety widziałem przeważnie i na tej podstawie twierdzę, że kobieta nie traci przy tem swej kobiecości, jest zawsze zajmującą bez względu na to, czy zna się na myśliwstwie lub dopiero ze sztuką tą się poznajamia, nie czuje tego ani też zdradza się w czemkolwiek, że polowanie—że zabójstwo jest wyłącznym dla niej celem; zwłaszcza w polowaniach towarzyskość pierwszą odgrywa w niej rolę, jest jej głównym żywiołem, polowanie staje się dla niej rzeczą poboczną, strzelba wachlarzem lub parasolką tylko. Kobieta nie zatapia się w namiętności myśliwskiej, szanse polowania nie wzniecają jej zapału, nie wzruszają poprzednio—zadziwiając najwyżej i interesując w następstwie. Odpowiednio swej naturze rozmawia ona chętnie na łowach, jeżeli tylko ktoś odpowiedni znajdzie się do pogawędki w pobliżu, i to bez względu na to, że swym szczebiotem wystrasza sobie i towarzyszom zwierzynę i udaremnia polowanie. A mimo tych usterek kobieta o wiele jest przyjemniejszą od niejednego polującego mężczyzny, o wiele więcej pojmuje i poddaje się w zbiorowych łowach subordynacyi i chociaż to brzmi bardzo nieprawdopodobnie, o wiele łatwiej poddaje się dyscyplinie, jak początkujący myśliwy, który zwykle jest mniej usłuchany, a przytem porywczy i zarozumiały.

Kobieta chodzi przy polowaniu w grubych butach, w stroju niemodnym, nie uwydatniającym jej powabów — gdyż inaczej być nie może, ale mimo to nie zapomina o swej powierzchowności, o swym wdzięku i torba z nabojami zawiera i grzebyszek i lusterko, aby poprawić fryzurę, aby upudrować twarzyczkę pokryjomu.

Kobieta, zaznaczam to — jest każdej chwili gotowa polowanie uważać jako rzecz podrzędną, skoro jej tylko się nadarzy korzystna sposobność okazać się więcej kobietą, niż myśliwą. Jej sąsiad zajmuje ją daleko więcej niż zwierzyna. Z natężeniem uważać, jak np. przy pędzeniach leśnych lub na stanowisku, nie jest jej dane i nie jest też w tym kierunku wogóle w możności skupić całą uwagę. Febry myśliwskiej nie zna ona, a gdy mężczyzna już z daleka słyszy łomot zbliżającej się zwierzyny i w emocyach wyczekiwania napadają go dreszcze febryczne, kobieta i w tych warunkach nie traci krwi zimnej, ale zwykle najspokojniej pyta sąsiada: słyszałeś pan? coś się zbliża... Przeważnie wszakże kobieta nie słyszy owego szmeru, gdyż w tej chwili jest zajęta albo swoją osobą, albo też miłym sąsiadem, a najczęściej jaką żabką lub owadem, który grzebie się w trawie i o, zgrozo! mógłby skoczyć na jej małą nóżkę.

Gdy pewnego razu w leśnem pędzeniu na taką młodą myśliwą wyskoczyły od razu dwa zające, wydarzyła się miluchna scena, godna co najmniej uwiecznienia w kinematografie. Nasza zwolenniczka bogini Dyany zobaczyła obydwa szaraki przed sobą jednocześnie, a w wątpliwości, do którego strzelać, to bladła, to rumieniła się na przemian.

O Boże! zawołała i z determinacyą skierowała broń na jednego z nich, z czego korzystając drugi, zabrał się hyżym skokiem do odwrotu. — Ach! do tego właściwie powinnam była najpierw strzelać — przyszła jej teraz myśl do głowy,—więc znów składa się w inną stronę; — i to wahanie i te żale trwają tak długo, aż obydwa bez strzału znikły z horyzontu. — Ale co przytem było emocyi, jak dziewicze serduszko biło—niestety bezowocnie.

Takiemi przeważnie są kobiety nasze na polowaniu.

Ale są i inne, widziałem i takie, które z namiętnością prawdziwie męzką oddawały się łowiectwu. Znałem kobietę, która całe noce przepędzała na stanowisku sama jedna w dole, w mrozie i śniegu, biła jelenie celnym strzałem w największym biegu, na najsilniejszego odyńca kierowała sztucer z takim spokojem, jakby to chodziło o rozpięcie parasolki wobec promieni wiosennego słońca. Znałem taką, która każdemu sąsiadowi gracko koty sprzątała z przed nosa, która robiła luki lub biegła przed linią strzelców w kociołkach, która po pas w wodzie brodziła za kaczkami, biła po 50 kur w kilku godzinach, tresowała psa jak pierwszy mener i okładała go za każde przewinienie batogiem. Szczęściem dla nas, są to i będą pewno na zawsze tylko wyjątki.

Kobieta, na ogół biorąc, mało szkody wyrządza zwierzynie, a wzamian tyle daje nam urozmaicenia, że niedomagania fachowe zrównoważone zostają urokiem jej towarzystwa.

Bądźmy zresztą sprawiedliwi; te małe ułomności, które spotykamy u kobiety polującej, zdarzają się często i u mężczyzny. I mężczyzna nieraz schodzi ze stanowiska na pogawędkę, nie zagląda do lusterka wprawdzie, ale za to do cygarniczki lub manierki, ubiera się na łowy jakby miał stanąć w oknie wystawnem, przykłada podczas naganki strzelbę do twarzy, zanim się należy i pudłuje też nieraz więcej, niż potrzeba — a mimo to — poluje.

Nie chcąc być więc drugim smutnej pamięci Herostratem, który burzy w niewieściej postaci świątynię kultu Dyany, mogę tylko z całą galanteryą schylić głowę przed polującą kobietą.



Luźne uwagi.

Przyczynek do artykułu o pędraku *Rhizotrogus Solstitialis.*

Pędrak chrząszcza Rhizotrogus Solstitialis, zwany świętojańskim, jak również i pędrak chrząszcza majowego Melolontha vulgaris, czyni nam w kulturach leśnych bardzo wiele szkód. Więc też aby się zabezpieczyć od tych szkodników, używałem w praktyce jak najrozmaitszych środków, które polegają, prócz zbierania ich przy ryciu lub oraniu gruntu i otrząsania i zbierania chrząszczów, rano i w południe, w początkach rojenia. Nic to jednak na razie nie pomagało.

Nie ustawałem jednak w pracy tępieniu pędraków i użyłem nareszcie środka, który okazał się bardzo skutecznym i ten podaję Szanownym Kolegom do wiadomości.

Zaraz z wiosny, przy czyszczeniu zrębów, pomiędzy wyciętym nieużytecznym chrustem wycinałem krąglaki, grubości 2 do 3 cali, rozmaitej długości, najczęściej 10 do 20 cali z iwy, osiny, dębu, a z braku tego z sosny i świerku.

Na początku maja kładłem pomiędzy strefy flanc w szkółkach, a także pomiędzy rzędy lub mieszaninę jednostkową roślinek w plantacjach krąglaki w tym celu wpierw urobione rowki, tak, aby je cokolwiek z gruntu widać było. Pędraki zapachem fermentu miazgi do kory krąglaków przynęcone, zbierałem co 5 do 6 dni, i po zamarciu i zaschnięciu miazgi, zastępowałem kręglaki świeżemi, nowemi, branemi z czyszczeń lub trzebieży zagajników, a uskuteczniałem to każdego roku do końca września.

Nietylko pędraki chrząszcza majowego jak również chrząszcza świętojańskiego, a także szeliniaki, smoliki, korniki, turkuć podjadek znajdowały się przy korze w kopanych poziomo w rowki kręglakach i te szkodniki sposobem tym prawie radykalnie w moich kulturach wytępiłem. A może jest jeszcze inny, lepszy sposób? O czem prosimy w Gazecie Leśnej i Myśliwskiej zawiadomić czytelników w myśl przysłowia: „Niemasz szczęścia dla człowieka, jeżeli się niem z drugimi podzielić nie może“.

W. Koleczko.

Świerk czy sosna?

W odpowiedzi na moją krytykę lasomistrza Gressera, zamieszczoną w № 20 „Gazety leśnej“ p. Bostrychus staje w obronie tegoż lasomistrza, ale dla obrony przytacza dowody zbyt wyraźnie naciągane i niezgodne z głównemi zasadami nauki leśnictwa oraz wyrozumowanej logiki.

Tak naprzykład wypowiada z pewnością siebie te słowa: „każdy leśnik, któremu było dane zarządzać obszarami, gdzie sosny i świerki znajdują się na jednakowym gruncie, wie o tem, że świerk na najlepszej ziemi rośnie prościej, niż sosna i dlatego wykazuje znacznie większy procent drzewa użytkowego, i że niema rozgałęzionego wierzchołka, sosna zaś na takiej samej ziemi bardzo często wyrasta krzywo, ma wielką koronę i wskutek tego mniejszy procent drzewa użytkowego“. Ja także jestem pewny swego zdania i twierdzę, że każdy leśnik, który zna leśnictwo nietylko z teorji, ale i z praktyki i zna naturę drzew leśnych, wie o tem, że świerk nie tylko na dobrej ziemi, ale i na słabej rośnie prosto, nawet w rzadkiem zwarciu, ale i sosna, jeżeli tylko wzrasta od młodości w dobrem zwarciu, rośnie także prosto, a tem lepiej i bujniej bez rozgałęziania się w wierzchołku, im siedlisko jej jest lepsze. P. Bostrychus chyba widział sosnowe drzewostany na dobrem siedlisku, rozumie się dobrze zwarte, a przynajmniej wzrosłe w dobrem zwarciu, jeśli dziś to zwarcie jest już naruszone wybórką, w których pojedyncze drzewa są względnie proste, gładkie z cieniutką żółtą korą już po 20 stopach wysokości i z niewielką koronką u samego czuba. Jeśli p. Bostrychus na to zrobi uwagę, że taka sosna rośnie tylko na bardzo dobrem dla niej siedlisku, to ja mu odpowiem, że prosty wzrost sosny nie zależy od siedliska, lecz wyłącznie tylko od zwarcia drzewostanu. Tem się sosna odróżnia od świerku. Świerk rośnie prosto na każdem siedlisku i w jakiembądź zwarciu, sosna zaś rośnie prosto tylko w dobrem zwarciu, a przy słabem zwarciu krzywi się, rośnie nizko i rozkłada w gałęzie nawet na wyborowem siedlisku. Niech p. Bostrychus przejedzie się pod Łomżę i zwiedzi sztucznie zaprowadzony od roku 1846 las czysty sosnowy, na 400 włókach wzgórz suchych, piaszczystych zupełnie bezwodnych aż do głębi kilkudziesięciu stóp, to jest na najgorszem dla sosny siedlisku, a przekona się, że cały drzewostan wzrósł nie wysoko, ale prosto, z wyjątkiem pojedynczych sztuk uszkodzonych w młodości przez ryjkowce lub inne owady, lub wzrosłych przy haliznach utworzonych przez wyjęcie sztuk uschniętych wskutek zarażenia grzybem polyporus annosus. Rozumie się, że p. Bostrychus spotykał całe obszerne drzewostany sosnowe, w których znajduje się duży procent sztuk krzywych i z dużemi koronami, ale taki stan tych drzewostanów jest następstwem oddawna prowadzonego w nich gospodarstwa plądrującego, to jest stałego wybierania sztuk grubszych pojedynczych i przerywania zwarcia, niezbędnego przecież dla wyhodowania prostych sosen. Niechże teraz p. Bostrychus mi powie, czy przystępując do wyboru, co mamy po wyciętym sosnowym lesie zahodować, sosnę czy świerk, możemy mieć zamiar hodować las nowy w złem zwarciu wywołującem krzywienienie się i rozgałęzianie się drzew?

Chyba taki niedorzeczny zamiar w żadnej głowie najmniej wyrobionego leśnika powstać nie może. Jeżeli więc wyhodujemy nowy drzewostan w normalnem zwarciu, to otrzymamy go

z prostych sosen złożony. A jeśli nawet z powodu tendencji sosny do krzywienia się będziemy mieli jakiś procent krzywych sztuk niewielki, bo sztuki krzywe wybierzemy przy trzebieżach, a pozostawimy same proste, to chyba Bostrychusowi wiadomo, że wbrew jego orzeczeniu w drzewie użytkowem sosnowem idealna prostość nie jest przez kupców wymagana. Przyjrzyjmy się zblizka tratwom drzewa sosnowego spławianego, a przekonamy się, że zaledwie dwie sztuki na dziesięć są zupełnie proste, zgięcie kloca do 3 cali na 20 stopach nie uważa się za wadę zniżającą cenę budulcu. A przy wyróbce drzewa w lesie widzimy przecież, że sztuka drzewa raz zgięta czy łamana przerzyna się na dwa kloce proste, a sztuka dwa razy złamana przerzyna się na załamaniach poprzecznie i robi się z niej trzy kloce proste, a wszystkie użytkowe.

Nareszcie rozbiorę krytycznie przytoczoną przez p. Bostrychusa tabelkę porównawczą mas drzewnych, zawierających się na jednym morgu w drzewostanach sosnowych i świerkowych. Pan B. podaje masy drzewne obu tych rodzajów drzew na siedliska 1-ej klasy, co jest błędne, gdyż siedlisko 1-ej klasy dla świerku, to jest z glebą albo piaszczysto próchniczną wilgotną, a spodnią warstwą gliniastą, — albo próchniczno gliniastą, jest dla sosny zupełnie nie odpowiednie, albo za wilgotne albo za zbyt żyzne, do porównania więc takie siedlisko nie może być brane.

Siedlisko, które dla sosny jest klasy 1-ej, dla świerku będzie zaledwie siedliskiem klasy 2-ej, jeśli nie 3-ej.

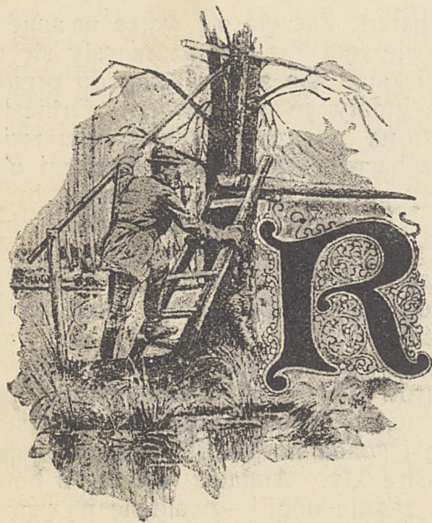
Ale, żeby p. B. nie zarzucił mi naciągania, wezmę do porównania siedlisko świerkowe klasy 2-ej jednoznaczne z siedliskiem sosnowem klasy 1-ej. Porównanie mas drzewnych będzie takie:

Wiek — lat	Masa ogólna — Sosna	Masa ogólna — Świerk	
30	5990	3706	polskie stopy kubiczne na morgu
40	7880	6383	
50	9540	9052	
60	11070	11468	
70	12320	13325	
80	13340	14617	
90	14210	15486	
100	14940	16026	
110	15570	16356	
120	16040	16497	

Więc nawet niemiecki jest dowód, że pan Gresser mocno blaguje, bo dowód ten wskazuje matematycznie dokładnie, że na najlepszym dla sosny gruncie świerk nie wyda większych mas drzewnych, a zatem i grubszych sztuk mających wyższą cenę.

W. Olszowski.





RÓŻNE.

Kronika myśliwska.

W Oleszniе p. S. Niemojewskiego odbyło się w d. 4 i 5 listop. polowanie w 18 strzelb. Królem polowania został J. hr. Skarbek, który miał na rozkładzie 48 sztuk zwierzyny.

Ogółem zabito: 640 zajęcy, 2 dziki, 8 rogaczy, 30 bażantów i 3 lisy.

Na zakończenie w Podzamczu dnia następnego polowano z chartami.

W Małej Wsi Zdzisława ks. Lubomirskiego odbyło się w czwartek i piątek ubiegły polowanie w 6 strzelb.

Królem łowów został Benedykt hr. Tyszkiewicz, który miał na rozkładzie 165 sztuk zwierzyny. Drugim z kolei był Adam hr. Zamoyski ze 164 sztukami. Ogółem zabito: 472 zające, 222 bażanty, 146 kuropatw i 2 lisy — a razem 852 sztuki zwierzyny, co świadczy o świetnym zwierzostanie w Małej Wsi.

Na polowania u Benedykta hr. Tyszkiewicza w Czerwonym Dworze pod Kownem z dziewięciu strzelb myśliwych: Wł. hr. Zamoyskiego, Karola i Konstantego ks. Radziwiłłów, A. ks. Lubomirskiego, Włodz. ks. Czetwertyńskiego margr. Wielopolskiego, A. hr. Ilińskiego-Kaszowskiego, barona Rotha i brata gospodarza Edwar-

da hr. Tyszkiewicza zabito: 1005 bażantów, 645 zajęcy, 25 jarząbków, 66 kuropatw, 1 rogacza i 22 różnych, ogółem 1764 sztuki.

Królem tak wspaniałego polowania okazał się Wład. hr. Zamoyski.

Na pięknym myśliwskim terenie Sowia-Góra pp. Sewerynostwa Kotkowskich odbyło się doroczne polowanie w 12 strzelb, na którem padło: 97 zajęcy, 2 szkodniki, 3 kozły, 21 bażantów, 31 kuropatw, 6 cietrzewi i 4 słonki. Królem polowania był p. Jakubowski z Farkowa, mając na rozkładzie 14 ptaków, 2 szkodniki i 4 zające. Drugim był p. K. Wodzyński.

Psie miłosierdzie,

Nie wątpię, iż szersze koło myśliwych zainteresuje sprawdzony w szczegółach fakt psiej miłości macierzyńskiej:

Pan S. w Kórniku posiada wyżlicę tresowaną podług metody Oberländera także na drapieżniki. Wyżlica ma obecnie szczenięta, z których kilka utopiono; równocześnie na spichrzu zbożowym sąsiedniej posiadłości kotka ułożyła swoje kocięta; pozostawiono kotce tylko jedno młode, ale nawet o to jedno kocia mać nie chciała się troskać. Kociak z głodu począł głośno się żalić przejmującem miauczeniem, piszczeniem. Posłyszała te skargi wyżlica, odszukała sierotę opuszczoną, zaniosła lekko do swego gniazda między pieski, ułożyła się, okryła zadnią nogą i nakarmiła, liżąc przyjaźnie. Kociak się uspokoił natychmiast. Później jednak odniesiono go do legowiska kotki. Wyżlica przecież znowu go odszukała, przyniosła i pomieściła pomiędzy swojemi młodemi. Gdy go zupełnie usunięto, dłuższy czas nie chciała się uspokoić, skomląc, szukając.

Powtarzam, że na powyższe manipulacje z ciekawością patrzano.

Wystawa rogów.

Galicja, jak się zdaje, urządzi pierwszą wystawę trofeów myśliwskich; oto, co pod tym względem donosi „Łowiec“, organ Towarzystwa łowieckiego lwowskiego: Podczas gdy w każdem niemal większem mieście zagranicznem odbywają się co roku na wiosnę myśliwskie wystawy rogów jelenich, sarnich i kłów dziczych, zdobytych w minionym tylko sezonie, w sferach naszych myśliwych nie pomyślano dotąd o naśladowaniu pod tym względem zagranicy. Myśl tę poruszył dopiero teraz, w ostatnim numerze „Łowca“ p. S. Bromilski, podnosząc słusznie, że „wystawa taka daje doskonały pogląd roku minionego, nastręcza sposobność do wielu ciekawych porównań z poprzedniemi latami i wogóle przedstawia się dla myśliwych bardzo sympatycznie“. „Zdaje się— pisze dalej p. B.— że taka mała wystawa, urządzona co roku we Lwowie, nie przysporzyłaby wiele zachodu i kłopotów pod względem finansowym: wystarczyłoby wynająć 1 lub 2 większe pokoje (zależnie od liczby zgłoszeń) w śródmieściu, każdy wystawca musiałby swoje trofea przesłać pocztą opłaconą, więc tutaj koszt żaden, a wstępy na wystawę pokryłyby z pewnością koszt wynajmu lokalu i dozór; w samym Lwowie zaś nie brakłoby myśliwych, którzyby się całem takiem przedsięwzięciem zająć zechcieli.“ Projektowi p. Bromilskiego tylko przyklasnąć możemy i nie wątpimy, że w sferach wyznawców św. Huberta znajdzie on jaknajlepsze przyjęcie.

Walka byka z tygrysem.

Z racji urodzin królowej, które cała Hiszpanja bardzo uroczyście obchodziła w tym roku, prześcigały się wszystkie miasta hiszpańskie w urządzaniu nadzwyczajnych widowisk. W słynnej miejscowości kąpielowej San Sebastian, gdzie jest arena dla „corrida de toros“, urządzono specjalnie interesujące, ale po hiszpańsku krwawe i straszne widowisko, a mianowicie walkę pysznego byka andaluzyjskiego z bengalskim tygrysem królewskim. Na arenę, której oparkanienie podniesiono do wysokości 6 m. dla bezpieczeństwa publicznego, wytoczono dwie wielkie, żelazne klatki ze zwierzętami, mającemi stanąć do tej strasznej walki. Zarówno byk, jak i tygrys były okazami wyborowymi, o potężnej sile i wzroście, przedstawiały się imponująco. Drzwi klatek zostały otwarte za pomocą osobnego systemu bloków. Pierwszy wyskoczył na arenę tygrys, wydawszy ryk, od którego zadrżeli widzowie. Usłyszawszy ten ryk, wysunął się z klatki z nizko nastawionym łbem potężny byk. Przez chwilę mierzył oczami tygrysa, poczem runął na niego. Tygrys uskoczył w bok. Byk zwrócił się i znowu natarł. Zaczęła się walka na śmierć. Rozjuszone zwierzęta raz po raz rzucały się na siebie, przyciskając się z taką siłą do prętów blatki, że przeginały je jak trzcinę. Orkiestra umilkła zgłuszona strasznym rykiem obu zwierząt. Krew zabarwiła szkarłatnemi plamami oba ciała. Kobiety poczęły krzyczeć, prosząc, by je wypuszczono. Daremnie! Pierścień widzów był tak zwarty i gęsty, że nie można go było przerwać. Kilkanaście kobiet zemdlało. Cucono je na miejscu, odwracając od areny, skąd wciąż grzmiał potężny ryk. Straszny pojedynek trwa... Obaj przeciwnicy ociekają krwią ze strasznych ran od pazurów i rogów. Nagle tygrys, jak sprężyną wyrzucony, robi olbrzymi skok prostopadły w górę i spada na grzbiet byka, wbijając mu w kark ostre kły. Andaluz ryknął z bólu, wspiął się na zadnie nogi i—zwalił się na wznak w tył razem z tygrysem. Rozległ się krótki, przeraźliwy chrobot łamanych kości — zmiażdżony olbrzymim ciężarem tygrys wił się na piasku w drgawkach konania, nie mogąc już powstać z areny. Wstał z niej wolno i chwiejąc się, byk zwycięzca. Przypatrzył się pysznie pręgowanemu ciału konającego wroga, schylił poteżny łeb, uderzył rogami raz i drugi, odwrócił się z pogardą i dumnie odszedł do klatki. Z trudnością udało się jednak ocalić zwycięzcę od śmierci z poniesionych ran i ogromnego upływu krwi. Dziś byk już prawie zdrów, rany straszliwe goją się dość szybko. W nagrodę za odniesione zwycięstwo będzie żył na koszt gminy, nie występując już w szrankach.

Ochrona zwierzyny.

Główny zarząd rolnictwa, obmyślając środki dla ochrony zwierzyny i polepszenia zwierzostanu, uchwalił zbadać stan myśliwstwa i zwierzostanu w kilku miejscowościach państwa. Zbadane mają być gospodarstwa myśliwskie, między innemi, w gub. kieleckiej i radomskiej. Wyniki tych badań będą ogłoszone drukiem.

Wiewiórka rabusiem.

Wybrawszy się pewnego dnia nad wieczorem na króliki, posłyszałem z oddali skarżącą się głośno i hałaśliwie sporą gromadę ptaków. Zacząłem badać przyczynę tego zjawiska i dostrzegłem wiewiórkę skaczącą wzdłuż płota i dźwigającą jakiś przedmiot. Nie wiedząc, co to być może, wystrzeliłem do wiewiórki i ku mojemu ogromnemu zdziwieniu przekonałem się, że przedmiotem przez nią dźwiganym była mała zięba. Na miejscu, które okrążały ptaki zawodząc żałośnie, odkryłem gniazdko tego ptaszka, gdzie siedziało takie samo młode, niezupełnie jeszcze zdolne do lotu. Wogóle zaobserwowałem, że ptaki atakują wiewiórki, o ile te zbliżą się zanadto do ich gniazd, prawdopodobnie więc znając szkodliwość wiewiórek w burzeniu gniazd i tępieniu młodych. *G. B.*

„Lis dymiący".

Taką nazwę, jak donosi pismo wiedeńskie „Halali", nadano wynalazkowi, który już został opatentowany w Austrji, a który ma również uzyskać patent w Rosji. Nowo wynaleziony przyrząd ma zapobiegać przechodzeniu zwierzyny z rewiru do rewiru, jest to zaś straszydło automatyczne, wytwarzające dym niemile woniejący i eksplodujący, przyczem ukazuje się światło i wytwarza się pewien szmer. Taki przyrząd ma obrzydzić zwierzynie chęć przekroczenia granicy, co zaś jest bardzo ważne, to ten szczegół, że całe urządzenie nie jest niebezpieczne ani dla zwierząt, ani też dla ludzi. Aparat robi wrażenie małego żelaznego pieca, może też być wszędzie nastawiony, a wytwarza tak intensywnie gazy, że niemiła woń rozchodzi się na kilkaset kroków i nawet ludzie odczuwają ją zdaleka. Pomnaża wrażenie ukazywanie się w pewnych odstępach czasu jasnych światełek i rozlegające się również od czasu do czasu detonacje.

Nie ulega wątpliwości, że taki przyrząd może odpowiedzieć zadaniu. Zwierzyna nasza w miarę wzrostu kultury bezsprzecznie postąpiła również naprzód, i pierwsze lepsze straszydła imponować jej mogą tylko tak długo, dopóki niepozna ona prawdziwego charakteru całego urządzenia. Płaty zapowietrzone asa foetidą tracą szybko na sile z powodu działania powietrza, do głosów ludzkich, jak i do pukaniny przyzwyczaja się również zwierzyna bardzo prędko. Wobec tego nowy ten środek przestraszający może oddziaływać doskonale, ale tylko do czasu, aż się przekona co to właściwie jest za straszydło. Dlatego też należy aparat ciągle przenosić z miejsca na miejsce. *„Lis dymiący"* działa zwyczajnie na przeciąg 20 godzin i taki model kosztuje tylko 6 koron (2 ruble 50 kop.). Aparat palący się 80 godzin kosztuje 12 koron (5 rubli), koszta zaś mieszaniny obliczono na 20 godzin po 25 koron (10 rubli.). Aparat został już praktycznie wypróbowany, a kierownik leśnej stacji doświadczalnej w Mariabrunn wystawił mu jaknajpochlebniejsze świadectwo.

Wypadek przy robieniu nabojów. D. 4 listopada, bawiący na urlopie strażnik u rodziców swych, niejaki Bulik w Woli Serockiej (pow. Siedlecki) wybierając się na polowanie, zaczął nabijać metalowe gilzy w ten sposób, że najpierw wsypawszy proch do gilzy i przybiwszy go przybitką wojłokową, zaczął następnie wbijać kapiszon siłą, trzymając przy tej operacji palce wewnątrz ładunku. Przy tym systemie nabijania, nastąpił wybuch z smutnym skutkiem, gdyż zmasakrowano w zupełności palce, kalecząc jednocześnie dosyć niebezpiecznie głowę i szkodując oczy strażnika. Rannego strażnika odesłano w dość groźnym stanie do Warszawy, gdyż felczer najbliższy nie podjął się wyjęcia odłamków metalowych z głowy, jakie utkwiły z gilzy.

Mieszko z Podlasia

Kalendarz Leśny.

Od Polskiego Biura Leśnego otrzymaliśmy następujące zawiadomienie:

„Z powodu licznych zapytań, niniejszem mamy zaszczyt zakomunikować, że ze względu na konkurs na Kalendarz Leśny, ogłoszony przez Wydział Leśniczy C. T. R. z nagrodą Rb. 300 wydanie naszego kalendarza Leśnego na rok 1914 wstrzymaliśmy."

Zając przeciw lisowi.

W dniu 31 lipca r. b. około godziny 8½ wieczorem, zauważyłem na wielkiej łące tęgiego, młodego lisa, zajętego gorliwie chwytaniem myszy. Ponieważ lis oddalał się odemnie coraz więcej, więc wypuściłem kulę w jego stronę na odległość 120 m. i przestrzeliłem mu prawą łopatkę. W chwili gdy mykita możliwie najszybciej usiłował się schronić w bezpiecznem miejscu, oddalonem o mniej więcej 100 metrów, przyczem mocno utykał, nagle z lewej strony wyłonił się zając i całym pędem przyskoczył do liska, okładając go zawzięcie przedniemi łapami. Tymczasem zbliżyłem się od prawej strony, co zauważywszy zając puścił lisa. Wówczas wystrzeliłem śrutem na jakie 60 kroków, na co mi lis odpowiedział jeszcze silniejszem utykaniem. Stała się jednak rzecz dziwna; oto nieprzestraszony zając zawrócił i raz jeszcze rzucił się z impetem na lisa, niezważając wcale na to, że jestem od nich już tylko o 10 kroków oddalony. Wystrzeliłem po raz trzeci, lis padł, a zając dopiero teraz nastawił uszy przestraszony i wolno pokicał w bok. Co mogło skłonić tchórzliwego zająca do okazania w tym wypadku takiej odwagi? Najprawdopodobniej chyba musiała to być samica, mająca w pobliżu swoje młode, zaobserwowano bowiem, że w takich razach samica rzuca się często na inne zwierzęta. *T.*



Jak urządzić hodowlę kur, ażeby przez cały rok mieć świeże jaja?

Ustawiczne narzekania na wzrastającą wciąż drożyznę jaj kurzych, skutkiem zwiększonego na nie popytu, w handlu, zwłaszcza w porze zimowej, gdy przeważnie znajduje się towar konserwowany, mający o wiele mniej składników odżywczych, — niemieckie stowarzyszenia hodowców drobiu zalecają, aby tak unormować lęgi drobiu, by można uniknąć t. zw. „strajku kurzego", to jest, mieć świeże jaja przez cały okres zimowy.

Znany niemiecki hodowca drobiu, Otto Eitel Hechingen, zamieszcza w jednem z czasopism następujące uwagi:

Świeże jaja kurze są, jak wiadomo, nie tylko pożywnem, ale i bardzo smacznem pożywieniem, ale, niestety, nie zawsze można je dostać.

O ile przyjemnem pożywieniem jest jajo świeże, ugotowane na miękko, o tyle wstrętnem, rozumie się i niezdrowem jest takie, które było zniesione przed kilku tygodniami, albo, jak to się czasem zdarza, już przez kilka dni było wysiadywane. To zdarza się dość często z tego powodu, że kwoczącym kurom dozwala się dniem i nocą siedzieć na jajach świeżo znoszonych przez niosące się kury, a nie odłącza się spiesznie tych, które okazują chęci kwakania. Tego rodzaju jaja stanowczo nie są już świeże, a pomimo to znajdują się w handlu. Mamy wprawdzie rozmaite środki konserwowania jaj jak n. p. zalewanie wapnem, przechowywanie w wodzie wapiennej, w wodnem szkle, w piasku, w popiele, smarowanie tłuszczem skorupki i tp.; ale wszystkie te sposoby, chociaż umożliwiają przechowanie jaj nawet przez kilka miesięcy i od biedy mogą być użyte na potrzeby kuchni, to jednak smak ich się pogarsza i nie mogą zastąpić jaj świeżych, poszukiwanych przez amatorów. Ściśle biorąc, to od starszych kur mamy jaja napewno świeże jedynie od początku wiosny do końca czerwca. Jaja lipcowe, jak wiadomo, pod względem dobroci pozostawiają wiele do życzenia, bo w tym miesiącu kury po większej części nabierają skłonności do kwakania. Co do jaj znoszonych w sierpniu, to te dają się doskonale przechowywać, a nawet bez użycia jakiegokolwiek sposobu konserwowania pozostają przez dłuższy czas w zupełnej świeżości. Stwierdzono, że jaja zniesione w sierpniu bez żadnego użycia sztucznego sposobu konserwowania mogły być użyte na potrzeby kuchni, a żółtko tych jaj było tak świeze i gęste, jak u jaj świeżo zniesionych. We wrześniu i z następującem w tym czasie pierzeniem się ustaje nosność kur, a jeżeli w dodatku nastaną chłody i deszcze, to kury nawet po skończeniu się pierzenia nie zaczną się prędzej nieść, aż z nadejściem wiosny.

Ale są też kury, które wogóle nie kwoczą; do tych należą mianowicie kury rasy włoskiej i Minorki, ale i u tych nawet zmniejsza się nośność w goracych miesiącach. W mojej hodowli, np. mówi autor, „włoszki" niosły się w głównych miesiącach jak następuje: w marcu zniosły jaj 289, w kwietniu 288, w maju 253, w czerwcu 212, w lipcu 200, w sierpniu 118, we wrześniu 60 jaj. We wrześniu zatem kilka kur przestało się całkiem nieść.

Natomiast w październiku zaczęły się nieść moje młode kurki pochodzące z wczesnego lęgu, bo zniosły one w tym miesiącu t. j. w czasie, gdy większa część kur starszych przebywała pierzenie, jaj 40;—w listopadzie 27, a w grudniu 45 jaj.

Kur takich, któreby się niosły w zimie, a które często bywają dla tej zalety zachwalane, według mojego doświadczenia nie ma wcale.

Są niemi jedynie kury, pochodzące z wczesnych lęgów, t. j. które wykluły się z jaj w miesiącu kwietniu lub w maju. Dlatego też, chcąc mieć jaja świeże w tym czasie, gdy kury starsze przebywają pierzenie i przestają się nieść, jest koniecznem mieć młode kury z wczesnego lęgu, któreby ten ubytek dopełniły. Faktem jest, że młode kury ras wcześnie dojrzewających już w szóstym albo siódmym miesiącu życia zaczynają się nieść,—przekonałem się o tem każdego roku na moich „włoszkach". Kury te, pochodzące z wczesnego lęgu, nie podlegają pierzeniu się w jesieni. Warunkiem dobrego ich rozwoju

jest odpowiednie, urozmaicone, obfite żywienie, bo złe lub niedostateczne żywienie bardzo niekorzystnie wpływa na nośność kur, zarówno młodych, jak i starszych. Chcąc przeto mieć wczesne kurczęta, należy wylęg zarządzić już w marcu.

Na kwoki nadają się bardzo dobrze indyczki i kury ciężkich ras mięsnych, jak: Wyandotty, Orpingtony itp., które w tym czasie przestały się nieść i z tego powodu okazują chęć wysiadywania. Indyczki dają się łatwo zmusić do wysiadywania, chociażby w tym czasie jeszcze się nie niosły. Stosuję to u siebie każdego roku i zawsze mi się to udaje. Od bardzo wczesnych wylęgów, to jest w miesiącu styczniu i lutym stanowczo muszę odradzać i nie ulega wątpliwości, że miesiąc marzec jest do celu najodpowiedniejszym. W takim razie kurczątka wylęgną się z końcem marca lub na początku kwietnia, gdy powietrze już się nieco ociepliło, a młode kurczątka mogą być wyprowadzane od czasu do czasu na świeże powietrze i na słońce, co bardzo korzystnie wpływa na ich rozwój i utrzymuje w dobrem zdrowiu.

Właściciele kur i hodowcy, którzy tak postąpią, uzyskają w ten sposób świeże jaja od stycznia do grudnia, co ma doniosłe znaczenie z powodu wysokiej ceny jaj w miesiącach zimowych, a taka hodowla kur nietylko pokryje koszta żywienia, ale nadto może nam przynieść dość poważny czysty zysk.

W. S.



Wystawa drobiu, gołębi i królików w Warszawie.

Staraniem Tow. zjednoczonych ziemianek odbyła się w d. 13, 14, 15 i 16 listopada w salach Tow. łyżwiarskiego w Dolinie Szwajcarskiej Wystawa drobiu, gołębi i królików, aby dać impuls do wytworzenia ras krajowych dla celów handlowych i praktycznych.

Wystawę obesłali właściciele i właścicielki licznych i wzorowo prowadzonych gospodarstw hodowlanych naszego kraju.

Również obficie reprezentowana była hodowla włościańska.

Okazy pani Heleny Paderewskiej z Riond Bosson w Szwajcarji zwracały na siebie ogólną uwagę zarówno rasowością, jak liczbą, a więc: nieznane u nas tak zw. „bojowce australijskie" (kogut i dwie kury), wyhodowane specjalnie dla gospodarstw polskich; „ziemowitki", wyróżniające się postawą i pięknością opierzenia, oraz kilka sztuk orpingtonów czarnych i „cristall", „plymouthrocki", „sussex'y" nakrapiane i „langshany" białe. Wszystkie okazy p. Paderewskiej świadczą o bardzo wysokim poziomie jej gospodarstwa hodowlanego, słynnego już dziś na cały świat.

Imponująco również przedstawiała się hodowla drobiu p. Anieli Choromańskiej, która wystawiła polskie „zielononóżki", rasę dużej wartości: nośną, wytrzymałą, odporną wobec chorób.

Dobrze też zareprezentowały się kursa gospodarstwa domowego w Grędzicach pod Ciechanowem i stacja zarodowa w Grędzicach, wystawiając śliczne okazy „minorek" czarnych, kaczek („pekinów"), gęsi pomorskich, indyków („mamuty" bronzowe) itd.

Wielkie znaczenie dla hodowli drobiu w kraju naszym mają gniazda zarodowe Tow. Zjednoczonych ziemianek, które, przy pomocy kółek rolniczych, zwłaszcza wśród włościaństwa naszego krzewią wzorowe gospodarstwa kobiece.

Z licznych gniazd zarodowych wymienić należy: siedzowskie, rudawskie, garwolińskie, pań: Zofji Miecznikowskiej, Bieleckiej i Florczakowej, łęgonicka stacja zarodowa i inne.

Okazale także przedstawiał się zakład gospodarczy w Chyliczkach w dziale „wyandottów" białych „orpingtonów" żółtych, „zielononóżek" polskich itd.

Z innych gospodarstw wymienić należy pp.: Zofji Hirszmanowej, Janiny Jastrzębskiej, Anny Dłużewskiej, Ireny Ryxowej, Marji Karczewskiej ze Szreńska, Marji Holder-Egger itd.

W dziale kaczek figurują wystawczynie, pp.: Marja Rączkowska, Irena Ryxowa, Julja Sadowska, Marja Karczewska, grędzicka stacja zarodowa i inne.

Doborowy był również dział gęsi, zwłaszcza pomorskich. pp.: Marji Sienkiewiczowej, Ewy Jakuszowej, stacji zarodowej w Grędzicach; z innych gatunków: emdeńskie p. Eugenji Olszewskiej, tuluskie p. Wandy Kuczyńskiej, japońskie pp.: Władysł. Żukowskiego.

Dział większego drobiu uzupełniały indyki: p. Marji Karczewskiej („mamuty" bronzowe), p. Heleny Paderewskiej, dalej kanadyjskie p. Daszkiewiczowej i Chojnowskiej oraz krajowe Marjanny Ładnowej.

Obficie obesłany był dział gołębi różnych gatunków (niektóre bardzo rzadkie). Zarówno co do liczby, jakoteż jakości wystawionych gołębi. na pierwszem miejscu należy wymienić wystawców, pp.: Władysł. Żukowskiego, Eugenjusza Stuermera, Edwarda Klejna i Adama Jakubowskiego.

W dziale królików było sześciu wystawców; pp.: Leon Przyłubski (niebieskie, srebrne, havany, japońskie, złote, olbrzymy belgijskie itd.), Edmund Jaworski, Kazimierz Żukowski, Marja Drużbacka, Wanda Lenartowiczowa i Marjanna Ładnowa.

Hodowla królików w kraju naszym znajduje coraz większą liczbę zwolenników i opłaca się znakomicie, co potwierdzają wyroby ze skórek króliczych: mufka i czapka — bardzo ładne i ciepłe. Chwalono również smak próbowanych: pasztetu i galantiny z mięsa królików z gospodarstwa wzorowego p. Drużbackiej.

Znaczny postęp i rozmaitość widoczne są w wyrabianiu sprzętów hodowlanych i pomocy w tej dziedzinie. Zwłaszcza wyróżniały się prace, wykonane przez stolarza przy kursach gospodarczych w Grędzicach, jak: sztuczna kwoka, pijadełka, korytka, klatki, ochraniacze, karmy itd., odznaczające się praktycznością i tanością; zawdzięczać to należy pomysłowości p. Anieli Choromańskiej, kierowniczki kursów. Zaliczyć tu również trzeba modele kurników i wzorową zagrodę z kurnikiem—p. Choromańskiej.

Niezwykłą atrakcją wystawy były wyroby z piór pierwszej w kraju naszym polskiej wytwórni piór „Łączność“, a więc: próby piór z drobiu i ptactwa dzikiego, gotowe fantazje, przybrania do kapeluszy, ozdoby itd.

Sąd konkursowy po ukończeniu swych czynności ogłosił listę nagród.

Stow. zjednoczonych ziemianek przyznało nagrodę „Zachęty“ (przechodnią) p. Anieli Choromańskiej za kury „zielononóżki“.

Komisja drobiowa, złożona z pp.: Dłużewskiej, Wyczółkowskiej i Schaeflera, (kierownik szkoły hodowlanej drobiu p. Heleny Paderewskiej w Riond Bosson w Szwajcarji) przyznała nagrody następujące:

W dziale kur: Nagrodę 1-szą p. Felicji Głogowskiej (za „zielononóżki“); nagrodę 2-gą: zakładowi gospodarczemu w Chyliczkach, p. Helenie Przyłubskiej oraz kursom gospodarskim w Grędzicach; nagrodę 3-cią: pp.: Marji Suskiej, Adeli Dłużewskiej, Helenie Laskowskiej i Zofji Hirszmanowej; nagrodę 4-tą: pani Ewie Wodzińskiej, gniazdu garwolińskiemu, kółku łysakowskiemu i kółku „Wiara“. Listy pochwalne otrzymały pp.: Anna Nasiorowska i Jakuszowa.

Za gęsi i kaczki: Nagrodę 1-szą otrzymał zakład gospodarczy w Chyliczkach i p. Wanda Kuczyńska; nagrodę 3-cią: pp.: Kazimierz Żukowski i Irena Ryxowa.

Za indyki: Nagrodę 1-szą przyznano pp.: Irenie Ryxowej, Ludmile Daszkiewiczowej i Marji Karczewskiej.

W dziale gołębi sąd konkursowy stanowili pp. Schaefler i Milewski. Przyznano: Nagrodę 1-szą: pp.: Albrechtowi i Stuermerowi; nagrodę 2-gą: pp.: Żukowskiemu i Milewskiemu; nagrodę 3-cią: pp.: Jakubowskiemu i Funkowi; nagrodę 4-tą: pp.: Kleinowi i Pachnickiemu. List pochwalny otrzymał p. Konarski.

W dziele królików „jury“ stanowiły pp.: hr. Potulicka, Marja Rodziwiczowa i Karwicka. Przyznano: Nagrodę 1-szą: p. Leonowi Przyłubskiemu; nagrodę 2-gą: p. Marji Drużbackiej; nagrodę 3-cią: p. Żukowskiemu.

W dziale sprzętów hodowlanych sądziły pp.: Lucyna Kotarbińska, Zofja Kretkowska i Sienkiewiczowa. Przyznano: Nagrodę 1-szą: kursom gospodarczym w Grędzicach; nagrodę 2-gą: p. Karpińskiej.

Za sprzęty i opakowania otrzymały: Nagrodę 1-szą kursy gospodarcze w Grędzicach; nagrodę 2-gą: p. Zofja Kretkowska; nagrodę 3-cią: p. Marja Suska.

W dziale paszy przyznano list pochwalny p. Sosnowskiemu.

W dziale wyrobów i piór również list pochwalny przyznano Spółce „Łączność“.

Warunki przedpłaty z dostawą: W Warszawie i na powincji: rocznie rb. 8, — półrocznie rb. 4, — za granicą: rocznie koron 24, — lub marek 20, — półrocznie kor. 12 lub mk. 10, — 5; pojedyńcze numera 40 kop.

Warunki ogłoszeń: Przed tekstem: cała strona rb. 60, pół str. 32, 1/4 str. rb. 18, 1/8 str. 10 rb., 1/16 str. rb. 5 k. 50. Po tekście: cała stronica rb. 50, 1/2 str. 28, 1/4 str. rb. 16, 1/8 str. rb. 8.50 i 1/16 rb. 4.50.

Przedpłatę przyjmuje administracja, jak również każda księgarnia w Warszawie, na prowincji i za granicą.

Komplety za rok 1912 w ozdobnej oprawie otrzymać można po cenie Rb. 5 kop. 50 wraz z przesyłką w Administracji.— Za zaliczeniem kop. 20 drożej.

Za listy nadesłane do Redakcji, pismo nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Ze zmianą adresu prosimy nadesłać po 20 kop. w znaczkach pocztowych.

Wydawca: **Gustaw Buseck-Busecki.** Redakcja i Administracja: **Nowy-Zjazd № 7.** Za redaktora: **Zygmunt Dekler.**

Odbito w drukarni W. Piekarniaka, Nowy-Świat 31. Tel. 44-59.